Kurjer literacko naukowy

ROK IV. WYCHODZI W NIEDZIELĘ JAKO BEZPŁATNY DODATEK NR. 23

Złudzenia moralisty

Refleksje o Ignacym Krasickim

Krasicki to najmędrszy literat dawnej Polski. Najmędrszy i najbardziej krytyczny. Jego sądy o ludziach i o świecie, jego oceny etyczne i opinje literackie cechuje zazwyczaj bystrość i rozwaga, umiar, trafność, i chłód spokojnej analizy. Jest to bodajże największa dawka krytycyzmu, na jaką zdobyło się piśmiennictwo staropolskie, które wogóle nie grzeszyło tendencją do skrajności. I Krasicki — jak wszyscy filozofujący pisarze nasi — nie był myślicielem skłonnym do radykalizmu, do krańcowej konsekwencji czy bezwzględności. Poeta miał naturę kompromisową i wygodną. Mimo to zdobył się na ostrość sądów i trzeźwość krytyki moralnej większą niż u kogokolwiek przed nim.

Bywalec w kraju i zagranicą, wykształcony i dowcipny światowiec, elegancki i miły przyjaciel młodego króla Stanisława Augusta poznał świat i ludzi dość wszechstronnie, aby wyrobić sobie o nich własne, naogół ujemne, zdanie.

Przekonał się o lichocie pozorów, kryjących przywary, śmiesznostki i ułomności ludzkie. Nie łudził się tak powszechną w XVIII wieku wiarą w postęp. W jednym z *Listów* poetyckich pisze:

W każdym miejscu i czasie człowiek
jest człowiekiem,
Te same w nas skłonności, co były
przed wiekiem.

Krasicki wie co sądzić o autorytetach, jeśli za niemi nie stoją istotne wartości. Ani powaga zawodu, ani dygnitarstwo, ani nawet suknia duchowna nie wynagrodzą braków umysłu i charakteru. Wersety *Monachomachji* świadczą o tem wymownie:

Nie wszystko złoto, co się świeci z
góry,
Ani ten śmiały, co się zwirzchnie
srozy:
Zewnętrzna postać nie czyni natury.
Serce, nie odzież, ośmiela lub trwoży.

— — — — — —

...umysł prawy zdrożności unika —
Cnota, nie odzież, czyni zakonnika.

Poeta cenił nie wspaniały pozór, lecz treść. Stąd też płynie ironja wobec zarozumiałości modnych filozofów, tzw. *esprits forts.* Krasicki wie, że duma filozoficzna radzi sobie z przeszłością i z przyszłością, ale przed nędzą teraźniejszości obronić się nie potrafi:

Zaufany filozof w zdaniach
przedsięwziętych,
Nie wierzył w Pana Boga, śmiał się z
wszystkich świętych.
Przyszła słabość — aż mędrzec, co
firmament mierzył
Nietylko w Pana Boga i w upiory
wierzył.

W rozmaitych okresach życia rozmaicie sądził poeta ludzkość, najpierw bardziej surowo, później coraz łagodniej. Jest rzeczą ciekawą, iż najwybitniejsze dzieła Krasickiego, zwłaszcza *Bajki i przypowieści*, są zarazem najostrzejsze w ocenie świata. W *Bajkach* już początkowa apostrofa do czytelników brzmi dotkliwie:

Wy, których tylko niestatek żywiołem,
Co się o fraszki uganiacie wspołem,
O fraszki, których zysk może i szpeci,
Bajki wam niosę, posłuchajcie, dzieci!

Wy, którzy marne przybrawszy
postaci,
Baśniami łudzić umiecie współbraci,
Baśniami, które umysł płochy kleci,
Bajki wam niosę, posłuchajcie, dzieci!

Równie pesymistyczny jest słynny *Wstęp do bajek*, zaczynający się od słów: „Był młody, który życie wstrzemięźliwie pędził, Był stary, który nigdy nie łajał nie zrzędził..." Bardzo znamienna jest ostatnia bajka zbioru pt. *Wilk i owce.* Naiwność i poczciwość owiec jest w niej napiętnowana jako głupota. Autor nie znajduje ani słowa współczucia dla owiec, które uwierzywszy w pokutę wilka wyratowały go z pułapki na to, aby — stać się jego łupem.

Pesymizm Krasickiego nie jest konsekwentny, ani monotonny. Poeta ma czasem minę zblazowanego, schyłkowca, kiedyindziej zgorzkniałego moralizatora. Może najgłębiej przejawia się duchowość poety w postaci spokojnej, doświadczonej rezygnacji, która niczemu się już nie dziwi i niczem nie oburza. Wtedy refleksje Krasickiego zdają się przypominać poglądy Filinta z komedji Molière'a.

* * *

Możnaby przypuszczać, że autor tak nastrojony, jak Krasicki, tak dobrze znający tajniki indywiduów ludzkich, nie będzie miał złudzień w charakterystyce zjawisk natury ogólnej że jak trzeźwo sądził jednostki, tak również widzieć będzie pokolenia. Tym czasem spotyka nas zawód. To, co Książę Biskup Warmiński mówi o życiu społecznem, wady, które mu wytyka i wzory, na które wskazuje, nie są niczem innem jak powtórką schematów moralizatorskich, oklepanych przez cały legjon pisarzy, szczególnie w XVIII wieku.

Przedewszystkiem banalna jest krytyka współczesności. Zwyczajem wszystkich umoralniaczy, Krasicki, uważa epokę sobie współczesną za specjalnie złą i zepsutą. Pod wpływem Rousseau'a miota gromy na kulturę swoich współczesnych, w satyrze *Świat zepsuty.* Czegóż tam niema? Autor zebrał wszystkie możliwe zbrodnie, występki, przeniewierstwa i zdrady, aby je rzucić w oczy swemu wiekowi. Podobnie w satyrze *Pochwała wieku.*

Gdyby poeta poprzestał na jaskrawej krytyce, moglibyśmy tylko stwierdzić moralizatorską przesadę. Krasicki nie ogranicza się jednak do jednostronnych potępień, lecz stawia swemu pokoleniu za wzór jakąś idealną przeszłość, *wiek złoty*, opiewany stale przez pisarzy moralizujących dla tem większego pognębienia współczesnych. Wszystko, co dziś jest złe i nikczemne, dawniej było dobre i piękne. W *Myszeidzie* znajdujemy taką wizję cudownej przeszłości:

Pod słodkiem jarzmem ulubionej cnoty
Szczerość czyniła wszystkich
przyjaznemi:
Nie przykrzyły się ustawne kłopoty,
Ani łudziła chciwość wdzięki swemi.

W tym szczęśliwym wieku rolnik miał spokojny sen w „miernej swojej chacie". Sędzia nie straszył winowajców, lichwiarz nie ciułał pieniędzy. Syn nie czekał — dla spadku — śmierci ojca, zbójców nie nazywano rycerzami etc.

Te same motywy wracają w satyrach:

Gdzieżeś cnoto? Gdzieś prawdo?
Gdzieście się podziały?
Tuście niegdyś najmilsze przytulenie
miały.
Czciły was dobre nasze ojcy i
pradziady,
A synowie, co w bite stąpać mieli
ślady,
Szydząc z świętej poczciwych swych
przodków prostoty
Za blask czczego poloru zamienili
cnoty.

Stara piosenka na nutę: dawniej było lepiej, pobrzmiewa nietylko w wcześniejszych utworach poety, jak *Myszeida*, ale i w późniejszych lirykach, np. w wierszu *Do Jędrzeja Mokronowskiego:*

Panie Jędrzeju! ach cóż to się święci!
Nie tak bywało za naszej pamięci.

Wprawdzie i dawniej łgali, przyznaje autor, ale zaznacza, iż „łgali grzecznie". I dawniej bywali utracjusze, ale się kryli. I dawniej była rozpusta, ale „pokryjomu". Oszustwa się zdarzały, ale nie tak liczne. I dawniej kradli, ale „nie tak jawnie". Zarzuty tego rodzaju można robić każdej epoce, gdyż niema ścisłych sprawdzianów ich słuszności. Krasicki nie odczuł wartości dodatnich swego wieku, nie zrozumiał należycie jego odrodzeńczych zwłaszcza w Polsce, aspiracyj i dążeń.

Iluzje Krasickiego w poglądzie na generację współczesną i na idealną przeszłość nie są tylko jego wadą. Była to powszechna cecha literatury XVIII wieku. Nie są jej pozbawieni nawet tacy sceptycy, jak Voltaire. Gdyby Krasicki miał więcej zainteresowań społecznych (a nie społecznikowskich), gdyby znał życie polityczne, byłby może uchronił się od generalizacji, od przesadnych narzekań na otoczenie i od złudnej wiary w miraże złotego wieku.

Ale poeta nie lubił polityki, uciekł od niej, gdy Stanisław August chciał go uczynić mężem stanu. Z zacisza domowego nie mógł Książę Biskup śledzić życia zbiorowości, to też ograniczył się do powtarzania konwencjonalnych kazań i apostrof.

Mieczysław Piszczkowski.

Muzyka jako środek leczniczy

„A tak kiedykolwiek duch Pański zły porywał Saula, brał Dawid arfę i grał ręką swą i ochładzał się Saul i lżej mu bywało: bo duch zły odchodził od niego".

Wiele stuleci upłynęło od czasów, gdy pisarz biblijny w powyższych słowach podniósł znaczenie muzyki jako środka leczniczego. Nauka zrobiła olbrzymi postęp. Medycyna oparta na naukowych podstawach nie błąka się dziś na manowcach przesądów i zabobonów.

Mimo tego, współczesny lekarz fizjolog czy psychiatra nadal uznaje znaczenie muzyki dla medycyny. Starożytni może trochę przeceniali znaczenie muzyki, dzisiejsza nauka medycyny zakreśliła muzyce bardziej ograniczoną sferę działania. Tak np. Aulus Gallius wobec ran i ukąszeń całkiem na serjo zalecał grę na flecie, a Thales z Miletu uważał muzykę za najlepszą broń do powstrzymania postępów dżumy.

Medycyna ludowa również od niepamiętnych czasów znała znaczenie muzyki jako doskonałego środka do kojenia bólu. Często znachorzy wiejscy przy wyrywaniu zęba lub składaniu złamanej ręki czy nogi dla złagodzenia bólu pacjenta przygrywają na skrzypcach lub flecie.

Codzienna obserwacja życia daje

nam również wiele przykładów wielkiego oddziaływania muzyki na człowieka. Zasobny w iskrę natchnienia każdy utwór muzyczny odrywa człowieka od rzeczywistości, porywa w świat ideałów kompozytora. Podświadomie, nawet nie będąc znawcami muzyki przeżywamy w takt muzyki całą skalę uczuć, — to gniew, oburzenie to zapał, pragnienie czynu, to znów dziwne tkliwe ukojenie.

Muzyka ogromnie działa również na tłum i wogóle na większe zbiorowiska ludzkie. Wszak podniecającemi tony marsyljanki Rouget de Lisle pchnął Francję do podboju świata, a ziejące ogniem i ołowiem okopy pod St. Privat zdobyły pułki, porwane urokiem melodji.

Przypomnijmy sobie również Sienkiewicza „Bartka Zwycięzcę“. W takt podniecającej muzyki idą pułki złożone z polskich chłopów na pewną śmieć a jednak pełne zapału. Wyczerpany i wygłodzony żołnierz bolszewicki dodaje sobie zapału śpiewaniem „Międzynarodówki“.

Jeżeli zatem na człowieka zdrowego czar tonów odziaływa tak silnie, o ileż większym musi być wpływ muzyki na ludzi chorych, zwłaszcza złamanych duchowo, a więc bardziej wrażliwych, więcej podatnych. Współczesna nauka starała się wytłumaczyć, na czem polega działanie muzyki i jakie procesy przebiegają pod jej wpływem w ludzkim organiźmie. Niewątpliwie spokój czy podniecenie duszy pod wpływem dźwięków ma pewne znaczenie w walce organizm z chorobą, głównie jednak nie w mglistej dziedzinie duchowej, lecz w czysto fizycznej szukamy powodów działania muzyki na organizm.

Badania fizjologów doby obecnej stwierdziły, że muzyka może oddziaływać na obieg krwi, wzmaga i zmniejsza naprzemian napięcie naczyń, powiększa liczbę uderzeń serca i poprawia nadto rytm oddechów. Niektórzy z fizjologów jak np. Dr. Lilley oddziaływanie melodji tłumaczą reakcją nerwów, które kierują dopływem krwi. Drgania wywołane dźwiękami, tworzące coś w rodzaju promieni działają na nerwy, pod których wpływem naczynia krwionośne słuchającego muzyki osobnika, ulegają rozszerzeniu, odpływ krwi żylnej idzie łatwiej, ustrój ogarniają miłe uczucia ciepła i błogości. Wskutek tego następuje obfitszy dopływ krwi do naczyń, wzmaga się odżywianie ustroju i chorego narządu, a więc i jego energja w walce z cierpieniem.

W jednem z niemieckich sanatorjów przeprowadzono również próby działania muzyki na nerwowo chorych. W pewnych wypadkach dało się zaobserwować dość dodatnie wyniki. Muzyka potrafiła uspokoić niepokój chorych lub wyrywała ich z tępej apatji. Chwila normalnego stanu u nerwowo chorego wywołana muzyką dawała możność lekarzom przemówienia do chorego i zorjentowania się ogólnego o nasileniu choroby. Dziś stało się pewnikiem, że muzyka stanowi łagodnie pobudzający środek leczniczy, który może w zdretwiałym mózgu chorego wywołać obrazy, myśli i pragnienia i pobudzić do życia drzemiące siły duchowe lub odwracając uwagę i pobudzając nerwy może uśmierzyć ból.

W. M.

Szanujmy indywidualność dziecka

Gdyby można było przeprowadzić wśród dzieci ankietę na temat, co im się naprawdę podoba, — z pewnością bylibyśmy obrażeni! A więc nie to, o czem z takim zapałem pisujemy w artykułach pedagogicznych, tworząc nieomylne, teoretyczne systemy? A zatem nie podoba im się to, co im się powinno podobać dla dobra higjeny, posłuszeństwa, ustalonej moralności, patrjotyzmu, estetyki, słowem, ideału społecznego? Przecież niemal codziennie zmieniamy decyzje w sprawie duszy i upodobań dziesięcych. Dziś jest szkodliwe to, co wczoraj było polecone; dziś nawet zabawka musi ukrywać celową myśl dydaktyczną. Podaje się dzieciom nie rzeczywistość prawdziwą, z której ci mali mistrzowie życia mogliby sobie wysnuć bogatą, właściwą tylko dzieciom treść istnienia, lecz daje się im wywar rzeczywistości, przefiltrowany, wykaligrafowany, zmieniony do niepoznania i pozbawiony soków żywotnych. Nie pytamy dziecka o zdanie w sprawie sztuki i jej formy; podajemy mu w rycinie i zabawce formę wyspekulowaną, gotową, zblazowaną, wytwór długiej i żmudnej walki z naiwnością i prawdą, do którego doszliśmy drogą całożyciowych doświadczeń. Nie myślimy o tem, że dziecko nie zna jeszcze rzeczy tego świata w ich realistycznej formie, — jakże tedy deformować mu je, zanim je jeszcze poznało? To, czem dziecko otaczamy i co mu do wierzenia podajemy, niema nic wspólnego z tem, co się dziecku naprawdę i w tajemnicy przed nami — podoba. Żadna ankieta wszakże nie wykryje istotnej prawdy i tęsknoty dziecka. Biedniątko to jest otoczone zawsze opiekunami, którzy w stosownej chwili zmuszą je do stosowania kłamliwej odpowiedzi. I biedne dziecko będzie odpowiadało z musu i wstydu to, czego nie myśli i nie czuje, lecz co powinno w takich wypadkach odpowiedzieć „nasze“ dziecko.

Krzykiem pedagogicznej mody współczesnej jest n. p. zawzięte tępienie wyobraźni bajkowej u dzieci. — „Należy je wcześnie przygotować do życia — należy je uczyć myśleć realnie“ — brzmi wychowawcza recepta naszej epoki. Teoretycy tej metody zapominają jednak, że człowiek posiada tylko jedno krótkie dzieciństwo, i że jest ono skarbnicą wyobraźni i uczucia na całe nasze dalsze „odkłamane“ życie.

Mylą się ci, którzy sądzą, że gorącemu sercu dziecka narzucić można rozsądną rzeczywistość życiową! Dziecko pogardza rzeczywistością ludzi starszych; a nawet brzydzi się jej. Bogactwo jego duszy jest niezależne od snobistycznych, lub dekadenckich sztuczek ludzi dorosłych, dbających o życiową karjerę, zależnych i tchórzliwych w wydawaniu sądów o własnej i cudzej duszy, twórczości i moralności. Dziecko nie waha się wydać własnego sądu o wszystkiem, co go otacza. Gdy już po tysiąckroć skazano na banicję wszystkich królów i królewny, wszystkie czarownice i biedny naród podziemnych krasnoludków, a zastąpiono te bzdury prawdziwemi historyjkami kraju rodzinnego, — dziecko, — ten królik zdetronizowany, szuka i śledzi, węszy i tęskni do swych wygnanych bożków! Byle podarta kapa ze stołu, zawieszona na małem, ramionku, ileż przynosi w swych fałdach dostojeństwa! Najkosztowniejszy kapelusz, kupiony przez ojca w [illegible] sklepie i noszony do szkoły, jest dla dziecka obojętną koniecznością, — lecz spójrzcie, jak po królewsku nosi starą zieloną podszewkę z letniego kapelusza swej matki, naciągniętą na sam czubek głowy! Nadyma się wtedy i puszy, i czuje się najpiękniejsze i najszczęśliwsze pomiędzy królami! Wyraźnie, — królami! Bo dziecko nie może pragnąć być takiem, jakiemi są zwyczajni, otaczający go ludzie starsi! Nie bądźmy tak naiwni, ażeby myśleć, że podobamy się dzieciom! Jesteśmy bowiem w ich oczach zaledwie znośni; a w wieku lat dwudziestu, wydajemy się im starcami, którzy stają się śmieszni, wymagając czegokolwiek od świata, stworzonego wyłącznie dla dzieci, królów, potworów zwierząt, aniołów i djabłów. Miejsce zaś dla postaci z historji rodzinnej jest w tece szkolnej, do której zagląda się z ziewaniem, myśląc o najbliższej niedzieli! Jakże mylą się pedagogowie, twierdząc, że już czas skończyć z oszukiwaniem wyobraźni dziecinnej fabułą o królach, a przygotowywać raczej młody umysł do idei wolności człowieka. Jak bardzo nie rozumieją ci ludzie twórczej duszy dziecka! Król bowiem w bajce, nie jest dlań królem historycznym. Nie jest dlań wogóle królem realnym. Nie znajdziecie dziecka, któreby marzyło o którymkolwiek królu z swej rodzinnej historji! Ci bowiem nie są dlań królami z bajki. Są to znowu tylko starsi, nudni ludzie.

Lecz postacie urojone; owe w płaszczach z migotliwymi ogonami, owe w koronach, lub nimbach krwiożerczej zbrodni, z kłami wyszczerzonemi chciwie, lub błyskającemi w śmiechu, owe poczwary ludzkie i zwierzęce, poparte całym arsenałem najbujniejszych możliwości: oto żywy świat dziecięcy! Oto lud rozległych włości, małych, twórczych samozwańców!

Zostawmy tedy dzieciom ich dzieciństwo; uszanujmy indywidualność bez troskiej niezależności od życia i świata pozwólmy im tworzyć to w czystej formie, do czego tak namiętnie dąży cała nowoczesna rzeczywistość dorosłego człowieka w sztuce: do niezależności wyobraźni od przedmiotu, do wiary w abstrakcję!

Janina Kilian Stanisławska.

Człowiek w walce z głębiami morskiemi

Niezaspokojona żądza ludzka opanowania przyrody i poznania jej tajemnic zmusza człowieka do ustawicznego borykania się z wszystkiemi żywiołami. Wdziera się więc człowiek wgłąb ziemi, ryjąc w niej głębokie korytarze i wiercąc kilkukilometrowej głębokości szyby. Dziś jesteśmy świadkami opanowywania przez człowieka coraz to wyższych warstw atmosfery ziemskiej, podboju stratosfery.

Trzeci żywioł: woda, olbrzymie powierzchnie oceanów, to również teren odwiecznej ludzkiej ekspanzji, zarówno naukowej jak i gospodarczej.

Nie będziemy tu podkreślali znaczenia morza w życiu gospodarczem ludzkości, chcemy jedynie zwrócić uwagę na pewne problemy natury naukowej, z któremi oczywiście pozostaje w ścisłej łączności i korzyści praktyczne.

Zastanówmy się najpierw nad tem, jaki sens i cel mają badania naukowe wód oceanicznych?

Na to pytanie odpowie nam następujący przykład.

Wody mórz i oceanów naszego globu tworzą ciągły ośrodek, którego własności w danej okolicy w większym lub mniejszym stopniu zależą od warunków panujących w innych okolicach. Cząsteczki wody znajdujące się dziś w Oceanie Północnym, mogą po pewnym czasie znaleźć się np. na południowym Atlantyku, by stamtąd znowu powędrować w inne okolice. A zatem wody morskie podlegają ustawicznej cyrkulacji wzdłuż pewnych kierunków.

Przyczyny tej cyrkulacji są różnorodne. Powodują ją różnice w ciepłocie wód w rozmaitych okolicach ziemi, siła odśrodkowa wywołana obrotem ziemi dokoła osi, rozkład stałych centrów akcji atmosferycznej, wysokiego i niskiego ciśnienia i wiele innych.

Dokładne poznanie tych wszystkich przyczyn krążenia wód morskich i samego zjawiska krążenia ma donośle znaczenie niety1ko naukowe ale i praktyczne i to zarówno dla żeglugi jak i dla rybołostwa.

Innym, bardzo ważnym problemem badań morskich jest pomiar głębokości. Dokładne dane z tej dziedziny służą do sporządzania specjalnych map dla żeglugi. Dowodem ważności tych badań z punktów widzenia praktycznego jest fakt, że nowoczesne okręty są wyposażone w specjalne urządzenia, które ostrzegają przed rafami i mieliznami, i w ten sposób zabezpieczają okręt przed rozbiciem.

Tego rodzaju urządzenia, znajdujące się na dziobie okrętu, składają się z przyrządu do wysyłania dźwięków i z odbiornika do ich odbioru. Dźwiek, wysłany z okrętu w kierunku dna morskiego, odbija się o nie, i przebiega jeszcze raz swoją poprzednią drogę, ale w kierunku odwrotnym od dna do okrętu i tu wpada do odbiornika. Ponieważ szybkość rozchodzenia się głosu w wodzie jest znaczna, więc z czasu po jakim wraca echo, odbite od dna, można wyliczyć głębokość w danem miejscu.

Ten telefon głębinowy jest tak skonstruowany, że automatycznie sporządza wykres głębokości. Ma on kształt linji falistej, narysowanej cienkiem ostrzem na przesuwającej się taśmie papieru, pokrytej uprzednio sadzą, otrzymaną z odpowiedniego palnika acetylenowego.

Z badań morskich najbardziej jednak emocjonującemi, najbardziej otoczonemi aureolą tajemniczości są badania głębin morskich. Ileż na ten temat i od jak dawna osnuto rozmaitych opowieści i legend? Wdarcie się w głąb morza, opanowanie głębin wraz ze wszystkiemi jego tajemnicami jest tak samo wielkiem i starem marzeniem, jak tęsknota za przypieciem do

ramion ludzkich skrzydeł i wzbicia się ponad obłoki. Lecz, gdy dziś mówimy o lotach w stratosferę, o wznoszeniu się na wysokości dochodzące do 30 tysięcy metrów, to głębie morskie jeszcze ciągle bronią nam wstępu: głębokość, której zwykle nie przekraczają nurkowie, wynosi 35 m., a 84 m. jest rekordem amerykańskiego marynarza Drellishaka. Nawiasem dodamy, że Drellishak na tej głębokości pracował przez 12 minut.

Badać głębie morskie możemy dwoma sposobami. Pierwszy sposób to praca nurka, ubranego w odpowiedni skafander, drugi zaś sposób polega na zamknięciu człowieka w mocnej kuli stalowej i spuszczenia jej na odpowiednią głębokość. Tego drugiego sposobu użył niedawno Amerykanin Beebe.

Który z tych dwóch sposobów ma większe znaczenie?

Zanurzenie się w głąb oceanu w zamkniętej kuli stalowej, jakkolwiek pozwala na osiągnięcie znacznych głębokości posiada jednak tę wielką wadę, że ogranicza obserwowanie, krępuje ruchy, a co najważniejsze uniemożliwia wykonanie jakiejkolwiek pracy. Z tych powodów pierwszeństwo w badaniach morskich głębin posiadają i będą posiadać nurkowie. I dlatego skonstruowanie odpowiedniego stroju pancernego dla nurka jest pierwszorzędnym problemem techniki badań głębinowych.

Przypatrzmy się teraz rozwojowi historycznemu badań głębinowych.

Za pierwszych „badaczy" głębin musimy uznać poławiaczy pereł. Rekordy głębokościowe osiągnięte przez nich — i to przez najlepszych specjalistów nie przekraczają głębokości 14 metrów, na której potrafią przebywać niecałe 2 minuty.

Następnym etapem są badania, względnie romantyczne poszukiwania skarbów zatopionych, za pomocą dzwonów podwodnych, opuszczanych wraz z ludźmi na dno morskie.

Dzwony morskie, jakkolwiek do badań głębinowych zbytnio się nie nadają, jednak i dziś mają liczne zastosowania a specjalnie są w użyciu w dziale budownictwa morskiego, a w szczególności przy budowie mostów i w portach.

Etapem doniosłym w tej dziedzinie jest skafander - hełm stalowy, połączony z gumowem ubraniem. Dzieki temu rynsztunkowi, nurek może już dotrzeć na znaczne głębokości. Ołowiane sandały ciężarem swym trzymają go na dnie; bez nich woda wyrzuciłaby odrazu nieproszonego gościa na powierzchnię. Łączność ze światem i dopływ ożywczego powietrza zapewnia nurkowi długi wąż gumowy.

Oczywiście szybkość ruchów nurka jest ograniczona, ale za to z łatwością może w głębi wykonywać wysiłki, przekraczające siły ludzkie na powierzchni. Zatopiona np. łódź, którą na powierzchni trudnoby nawet zakołysać, w wodzie daje się obrócić, a nawet podnieść.

Skafander nurkowy ulega ustawicznym ulepszeniom. Skafander wynaleziony przez Draegera, wyposaża nurka w butle ze sprężonym tlenem, które samoczynnie dostarczają tlen pod ciśnieniem odpowiednim do danej głębokości. Ułatwia to pracę nurka, który staje się w ten sposób niezależny od dopływu powietrza z zewnątrz, a więc nie wisi nad nimi zmora zerwania się gumowego przewodu, równoznaczne ze śmiercią. W tym ulepszonym skafandrze łączy nurka z macierzystym okrętem jedynie kabel telefoniczny.

Dalszy rozwój techniki badań głębinowych jest zależny od dalszych postępów w rozwoju budowy odpowiednich skafandrów - pancerzy. Nie ulega wątpliwości, że ta walka z głębinami, będzie nadal walką ciężką i trudną.

s.

„Czarna śmierć" w Polsce

Straszny ten gość „czarna śmierć" czyli dżuma, nazywana też morowem powietrzem, zawitał na ziemie polskie po raz pierwszy w roku 1348, by od tego czasu co kilkanaście czy kilkadziesiąt lat pojawiać się ponownie.

Naogół nie zbierała ona zbyt obfitego żniwa śmierci. Jedynie za Kazimierza Wielkiego grasowała tak strasznie, iż blisko połowa ludności padła jej ofiarą. Również i epidemja z roku 1548 pociągnęła za sobą niezwykłą liczbę ofiar, którą Bielski podaje na 200 tysięcy ludzi.

Inne epidemje, których w okresie czasu od roku 1348 do 1652 było trzydzieści, miały przebieg stosunkowo łagodny.

Najstraszniejszą jednak była epidemja dżumy, która wybuchła w r. 1652, za nieszczęsnych rządów Jana Kazimierza.

Pojawiła się ona wkrótce po bitwie pod Beresteczkiem, posuwając się zwolna od wschodu ku zachodowi. Dzięki spóźnionej porze roku nie miała choroba odpowiednich warunków, by osiągnąć odrazu większe nasilenie.

Przyszła jednak wilgotna i łagodna zima, po niej mokra wiosna i niemniej wilgotne i mgliste lato, co wszystko przyczyniało się znakomicie do szybkiego rozprzestrzeniania się zarazy. A to tem więcej, że ludność nie poczyniła żadnych przygotowań do jej zwalczania.

W dworach szlacheckich i w domach zamożniejszych mieszczan zabezpieczano się przed chorobą staremi, wypróbowanemi środkami: okadzano mieszkania octem, kamforą, kadzidłami, palono siarkę. Zażywano uniwersalny lek, drjakiew wenecką, wódkę z goździkami i cynamonem lub korzeń dzięgielowy w winie lub w wódce.

Natomiast pospólstwo po miastach i ludność wiejska nie robiła prawie nic, szukając ratunku jedynie w modlitwach po kościołach i nieustannych procesjach, co tylko zwiększało niebezpieczeństwo zakażenia.

* * *

Zaraza wybuchła z całą gwałtownością w maju 1652. Jak podają kroniki, umierało w Krakowie i okolicy tygodniowo po 350 osób, zaś w dzielnicy żydowskiej po 50 osób dziennie.

Choroba miała przebieg typowy: wystąpienie małych czerwonych plamek na ciele, gwałtowne bóle głowy, wysoka gorączka, dymienice i wrzody, silne krwiotoki.

Ludność ogarnęła istna psychoza, na co w niemałym stopniu wpłynęły różne niezwykłe zjawiska atmosferyczne: w marcu całkowite zaćmienie księżyca, w kwietniu zaćmienie słońca, następnie wichry, zimno i nieustanne deszcze, powodujące wylewy rzek i zniszczenie zasiewów.

Nie zmieniło się to i w lecie. Nad Krakowem zalegla gęsta, nieprzenikliwa mgła, siejąc jeszcze większy popłoch wśród przerażonej i zdemoralizowanej ludności.

Mieszkańcy poczęli masami uciekać z zapowietrzonych miast, chroniąc się w góry i lasy, unikając wszelkiego spotkania. Po miastach i wsiach puste domy stały otworem, stając się łupem uzbrojonych band rabusiów.

Ustał zupełnie handel i komunikacja. Po ulicach snuły się gromady ludu, zrezygnowane, bierne, czekając nieuniknionej śmierci, co czaiła się na nich na każdym zakręcie.

Grozę położenia zwiększały kursujące fantastyczne pogłoski o studniach, zatrutwanych przez Żydów, o niesamowitych zjawiskach. Opowiadano o „morowej dziewicy" płynącej ponad lasy i bagniska, o strasznych pochodach śmierci, zwanych „homen", z jadącym na czele szkieletem śmierci, okrytym czarną płachtą...

Ludność ogarniał obłęd, tem groźniejszy, że skutkiem nieustannych deszczów i powodzi począł się szerzyć jeszcze i głód.

Dodajmy do tego liczne pożary, których ofiarą padły między innemi Częstochowa, Kalisz, Kęty, Lublin, a częściowo i Kraków (nie mówiąc o spaleniu przez rozwydrzone bandy licznych wsi i dworów), — a będziemy mieli iście dantejski obraz Polski w tym pamiętnym roku.

Dopiero pod zimę epidemja poczęła słabnąć, by w grudniu wygasnąć zupełnie. Zaczęła powracać do opuszczonych domostw szlachta i mieszczaństwo, co zawczasu szukało schronienia czyto w niedostępnych górach, czy na Śląsku lub na Węgrzech.

Zaczęto robić smutny bilans strat. Wedle zapisków ówczesnych kronikarzy w samym Krakowie padło ofiarą „czarnej śmierci" blisko 36 tysięcy osób. Ile ofiar zabrała epidemja w całej Polsce, — nie podobna ustalić. W każdym razie musiały być te straty ogromne, skoro kanclerz Radziwiłł w swoim „Memoriale" pisze, że „powietrze w Polsce wszędzie grasowało tak, że w niektórych miasteczkach ledwo sto ludzi żywych zostało".

Szczególnie ucierpiały: Wołyń, Podole, Pokucie, ziemia halicka, oraz województwa bełzkie, krakowskie, lubelskie i sandomierskie. W niektórych okolicach pojawiła się „czarna śmierć" jeszcze i w następnym roku. Tak więc w Gdańsku zmarło na dżumę w r. 1653 przeszło jedenaście tysięcy ludzi, w Sieradzu notowano jeszcze w r. 1654 blisko 2 tysiące wypadków śmierci, a w Poznaniu jeszcze w roku 1655 zdarzały się sporadyczne wypadki tej choroby.

* * *

Była to ostatnia tak katastrofalna epidemja dżumy w naszym kraju. Że przybrała ona tak wielkie rozmiary, — na to złożyły się rozmaite, wyjątkowe przyczyny. Przedewszystkiem sprzyjające warunki atmosferyczne, łagodna zima, wilgoć i deszcze; następnie zaś brak zupełny odpowiedniej organizacji, służby sanitarnej i wyjątkowy stan umysłów ciemnych mas ludzkości

(R.)



Z nowszej fotografiki sowieckiej: „Mały czytelnik".

Drobiazgi

Wieżę Eifel, której sylwetka jest tak charakterystyczna dla Paryża, a którą zbudował przed wojną inż. Eiffel, co siedm lat odmalowuje się na świeżo. Potrzeba do tego, fantastycznej ilości 45.000 kilogramów farby.

* *

W morzach i oceanach zawartość soli jest tak ogromna, że gdyby ją wyparować i rozsypać po powierzchni ziemi, pokryłaby całą jej powierzchnię warstwą grubości 47 i pół metra.

* *

Największa głębina w okolicach archipelagu Filipin na oceanie Spokojnym wynosi 10.800 mtr.

* *

Sztukę obrabiania kości słoniowej znano już w najodleglejszej starożytności. W grobowcach staroegipskich znajduje się b. często przedmioty z tego cennego materjału. Używali go Grecy, rzeźbiąc posągi bogów. Kość słoniowa ma obecnie ogromne zastosowanie w przemyśle dla wyrobu klawiszy, kul bilardowych, a dzięki swej trwałości i zachowywania swego wyglądu w przemyśle zdobniczym. Rocznie pada 65.000 słoni, ażeby dostarczyć światu dostatecznej ilości kłów.

* *

Już przed kilku wiekami przodkowie nasi spoglądając na sklepienia niebieskie snuli przypuszczenia na temat „nieznanych ziemi". Oczywiście to, co dziś nie jest dla nas nowością, dziadowie nasi brali za bóstwa. Ciekawość ludzka nie ma granic... I poczęto w miarę postępu wynalazków badać przy pomocy przyrządów zjawiska, które dla gołego oka były często niewidoczne. Po skonstruowaniu lup zaczęto coraz częściej spoglądać nocami ku niebu. Z czasem powstały specjalne obserwatoria. Pierwsze z nich w Europie założył król duński Fryderyk II. na wyspie Hreen, w zatoce Sundzkiej. Paryskie obserwatorium powstało w r. 1671, angielskie w Greenwich w 1674 r. Najstarsze obserwatorium na świecie znajduje się w Pekinie, założone w r. 1279 przez pierwszego władcę z dynastji Mongołów, Kubian Chan. W obserwatorjum tem do dziś dnia znajdują się instrumenty astronomiczne z XIII. wieku.

Anegdoty o Krasickim

Wielkiego pisarza dawnej epoki skufecznie przybliżają potomności opowiadania anegdotyczne, przekazywane ustnie lub utrwalone drukiem. O Ignacym Krasickim kursowało sporo anegdot. Część z nich ogłosił Franciszek Dzierżykraj - Morawski, tęgi żołnierz i niezgorszy wierszopis (ur. 1783, zm. 1861). Przytaczamy poniżej wyjątek z IV tomu „Pism zbiorowych“ Morawskiego (wyd. w Poznaniu 1882, s. 129—134). Są to interesujące anegdoty o X. Biskupie Warmińskim, którego dwusetny jubiletusz czcimy dziś Zjazdem Naukowym we Lwowie.

Nie wszyscy mamy chęć, sposobność i nie wszyscy jesteśmy w stanie pisania pamiętników; rzadko się przecie znajdzie taki, któryby od ojców swoich nie słyszał jakiego zajmującego zdarzenia, jakich dowcipnych odpowiedzi dawniejszych osób, jakich powieści gminnych, miejscowych, familijnych i jakiego nakoniec opowiadania dawnych czasów, które dotąd rozproszone giną marnie, umieszczone zaś w jakiem piśmie perjodycznem, ułatwiałyby skreślenie charakterystyki osób i wieku. Radbym zwrócił uwagę ziomków moich na ten nowy skład ojczystych skarbów które bez wielkiego trudu wydoćby się dały. Mnogie byłem uzbierał w tej mierze foljały, zaginęły one skutkiem ostatnich zaburzeń. Pojedyncze tylko zostały mi w pamięci anegdoty, z których dziś niektóre z Krasickiego życia jako dotąd może nieznane, przesyłam redakcji.

Długo Krasicki bywał ulubieńcem tak Stanisława Augusta, jak i Fryderyka wielkiego. Za przybyciem jego do Potsdamu, przeznaczył mu Fryderyk pokoje, które dawniej Wolter zamieszkiwał, mówiąc, iż czyni to dla wzbudzenia w nim natchnienia do nowego dzieła poetycznego. Utrzymują współcześni Krasickiego, że wierny wezwaniu króla, celniejszego z dzieł swoich tamże dokonał, a monarcha nieraz z żartem oświadczał, że i on jest w części twórcą poematu polskiego. Znana nam jest dowcipna odpowiedź Krasickiego, dana Fryderykowi względem obciętego płaszczyka. Słowem, wszystkie nam znajome szczegóły pobytu jego w Potsdamie, dowodzą, ile miłym był królowi i jak swobodnie tamże przepędzał chwile. Raz przecież, nie pomnę, czy z Warszawy, czy też z Potsdamu, mniej zadowolony wracał do Heilsberga, a przez czas popasu w jednej wiosce, przechadzając się blisko wodnego młyna, takie na nim skreślił i zostawił wierszyki:

Życie u dworu jak woda przy młynie,
Wznosi się, szumi, upada i ginie.

Krasicki w czasie pobytu swego w Warszawie zapraszał nieraz na obiady celniejszych wówczas poetów. Na jednych z tych wszczęła się rozmowa o wpływie poezji na życie narodowe. Przyznawano Krasickiemu, że walcząc bronią śmieszności z wielu przywar kraj swój uleczył. „Może być“, rzekł Krasicki, „lecz cóż dotąd uczyniono na wykorzenie gęszczących się zbrodni? Gdybym miał się i czerstwość stylu Naruszewicza lub Trębackiego, nie małobym był gromów naciskał. Wstydem jest prawdziwie, że dotąd nic jędrnego w tej mierze nie mamy“. „Mamy“, zawoła Dmochowski. „Znam ja wiersze na podła i przedajną duszę, których by nam każda pozazdrościła literatura: ...

Mały złodziej wart chłosty, lecz ten co kraj zdradza,
Lubo tyle za sobą hańb, sromot sprowadza,
Iż owe sławne sosny z nadbrzeża Pilicy
Jeszcze małe do składu jego szubienicy;
Przecież filut, wisielec, na co patrzeć zgroza,
Nosi wstęgi na szyji, co warte powroza

To Juwenal! Krzyknie Krasicki. — Może Juwenal rzecze Dmochowski, ale Krasicki, który tyle pięknych dzieł utworzywszy, mógł kilku własnych wierszy zapomnieć. — Jeśli istotnie są moje i zapomniałem ich, odpowie Krasicki:

Chylącego się wieku zwykłe to przywary.
Wzniosłeś mnie jak poetę, przypomniał żem stary;
Słabym tylko płomyczkiem dawny ogień pała,
Zerwana już ta struna, co dźwięk ten wydała.
Niegdyś rzeka spieniona, dziś strumyk wązuitki,
Pomruczeć tylko mogę i to na czas krótki.

Ktokolwiek przed czterdziestu laty po naszych jeździł drogach, pamięta zapewne ich stan nieszczęśliwy, a zwłaszcza owe wąskie grobelki i węższe jeszcze na nich mostki. Zawsze prawie była przed mostkiem kałuża, za mostkiem kałuża, bale zaś prawie nigdy nie przybite, tak iż koniecznie trzeba było samym środkiem mostku jechać, aby się nie przeważyć i nie wpaść w błoto po uszy. W tak smutnem właśnie położeniu zastał starego szlachcica Krasicki objeżdżający swoje dobra biskupie, a rozkazawszy służącym wydobyć mały wózek, tak się odezwał do podróżnego: „złe, panie bracie, mamy drogi, a gorsze pono jeszcze mosty“. — Ita est, reverende domine, odpowiedział szlachcic nieznający Krasickiego. Noster episcopus est bonus episcopus, sed malus pontifex.

Zaproszony raz został Krasicki na łowy, gdzie w gronie polujących znajdował się i Stecki, kawaler Maltański, znany z nadzwyczajnie krótkiego wzroku. Kiedy więc wszyscy zajmowali swoje stanowiska w kniei, wyznaczono i dla Steckiego jedno, najmniej znaczące, z pewnością, że żaden zwierz na niego wyjść nie może. Lecz jakież było wszystkich zdumienie, gdy wśród powszechnej jeszcze ciszy usłyszano nagle strzał w stronie Steckiego, a po nim krzyki przeraźliwe. Pewni, że kawalerowi naszemu zdarzyło się nieszczęście, biegną ku niemu z przestrachem, który wkrótce w najweselszy śmiech się zamienił. Zaledwie bowiem stanął Stecki na swojem miejscu, usłyszał jakiś szelest w krzaku, a pewny, że w zwierza uderzy, strzelił i w miejsce trudne do wymienienia, śpiącą tam babę ugodził. Nagrodzono sowicie babinkę, zaledwie draśniętą, a Krasicki natychmiast następujący improwizował czworowiersz:

Przyzwyczajony do wojny tureckiej
Pięknie się spisał nasz kawaler Stecki;
Jakże w nim widać odwagę maltańską,
Choć sam — uderzył w Portę otomańską.

Ziemia się spóźnia!

Około roku 1850 wybuchła między astronomami ciekawa polemika, na którą szeroka publiczność spoglądała z pewną pobłażliwością, biorąc całą sprawę raczej ze strony... humorystycznej.

Polemika naprawdę, zdawałaby się, *de lana caprina*. Poszło mianowicie o — księżyc i jego czas obrotu dokoła ziemi.

Jak wiadomo, kompletny okres obrotu naszego satelity dokoła ziemi wynosi w przybliżeniu 29 i pół dnia. Astronomowie, z pomocą precyzyjnych instrumentów, są w stanie oznaczyć każdej chwili jaknajdokładniej pozycję księżyca na firmamencie, drogą bezpośredniej obserwacji.

Można jednak to samo uskutecznić z równem powodzeniem i z równą dokładnością bez teleskopów i obserwacyj, drogą ścisłych wyliczeń, określając każdorazową długość i szerokość w odniesieniu do ekliptyki ziemskiej.

Jedna i druga metoda dawała rezultaty identyczne, aż do chwili, gdy francuski astronom Delaunay, około roku 1850, stwierdził ze zdumieniem, że jednak rachunek ten coś się nie zgadza: każdy kompletny obrót księżyca dokoła ziemi jest krótszym od poprzedniego o... jedną dziesięciotysięczną część sekundy!

Nie jest to dużo, — każdy przyzna. Ale i ten ułamek sekundy wystarczył dla astronomów, aby stwierdzić, że coś się popsuło w ich rachunkach: Księżyc obraca się dokoła Ziemi szybciej, niż powinien wedle obliczenia!

Gdzie szukać winowajcy? Czy obliczenia były niedokładne, czy raczej obserwacja szwankowała?

Wysuwano różne teorje, zużyto masę papieru i atramentu, — nie zdołano jednak znaleść zadowalniającego wyjaśnienia tego fenomenu, stwierdzonego ponad wszelką wątpliwość.

Przez pół wieku zgórą astronomowie łamali sobie głowy, — zanim wreszcie doszli do jądra sprawy.

I oto pokazało się, że wszystkiemu winna jest nasza kula ziemska! To nie księżyc się spieszy, tylko Ziemia się spóźnia!

Ta Ziemia, która obraca się dokoła swej osi w ciągu 24 godzin, — podczas gdy czas obrotu księżyca dokoła Ziemi wynosi 29 i pół dnia.

Teoretycznie czas obrotu Ziemi dokoła swej osi nie powinien ulegać najmniejszym nawet wahaniom: niby olbrzymi bąk kręci się ona z pewną stałą szybkością, a jej energja obrotowa jest wykładnikiem dwóch czynników, tj. nabytej szybkości początkowej i inercji całej olbrzymiej masy rozmieszczonej dokoła osi.

Otóż ten właśnie czynnik inercji okazał się nie stałym. Skorupa ziemska znajduje się jeszcze ciągle w stadjum ewolucji: w ciągu wieków powstają na niej rozmaite wypukłości, to znów zapadają się całe wyspy i łańcuchy górskie w głąb morza. Wulkany wyrzucają z wnętrza ziemi na powierzchnię całe masy lawy i popiołu.

Co więcej, z przestworzy kosmicznych spadają na ziemię liczne meteoryty, zwiększając w ten sposób masę naszego globu i jego inercję.

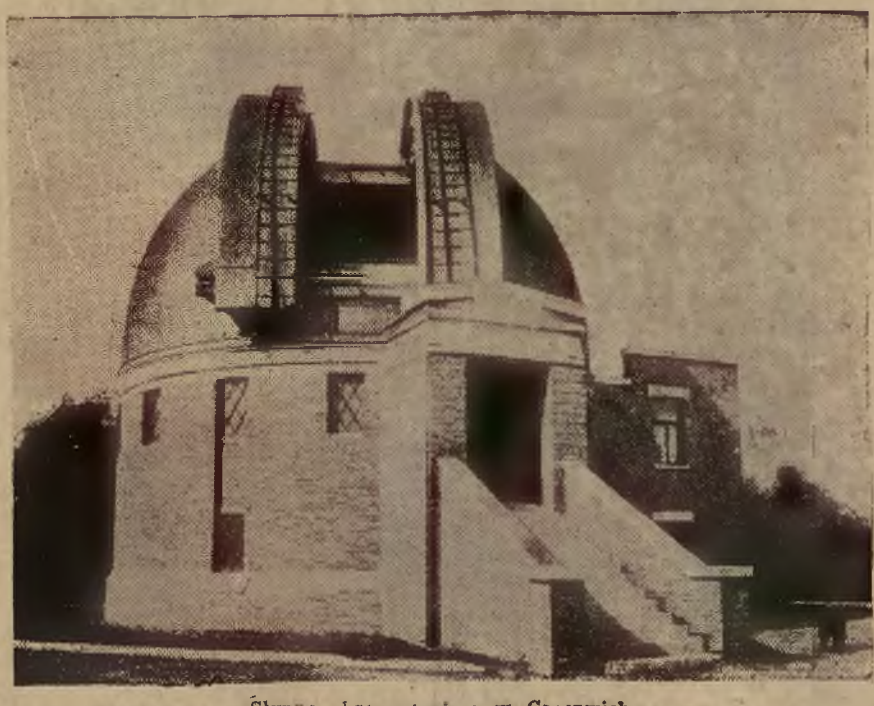
A wreszcie moment najważniejszy, — to regularny przypływ i odpływ morza, pod wpływem siły przyciągania księżyca. Jeden kompletny cykl tych przypływów i odpływów trwa 29 i pół dnia, tj. równy jest jednemu obrotowi księżyca dokoła Ziemi, — podczas gdy kula ziemska dokonuje swego obrotu dokoła osi w ciągu 24 godzin.

Ta właśnie różnica szybkości obrotów powoduje utratę cząstki energji obrotowej Ziemi, i to w znacznie wyższym stopniu, niż wszystkie inne okoliczności, wyżej przytoczone.

Przypływ i odpływ morza gra tu tą rolę niejako hamulca, działającego nieustannie.

Są to wszystko rozważania, interesujące raczej tylko astronomów. Oni też wyliczyli, że za... miljon lat opóźnienie to, ruchu obrotowego Ziemi dokoła swej osi dojdzie do 7/10 obecnego dnia. Co więcej, wyważają obawę, czy kiedyś za miljony, miljony lat, Ziemia, zwalniając ustawicznie swój obrót, nie przestanie się wogóle obracać. Mogłoby to nastąpić z chwilą, gdy okres obrotu Ziemi dokoła osi zrównałby się z czasem obrotu Słońca dokoła Ziemi.

Ale są to perspektywy tak dalekie, że mogą one interesować tylko astronomów. Dla nas, zwykłych śmiertelników, nie mają one cech „aktualności“, — taksamo, jak niewiele nas wzrusza fakt „spóźniania się“ Ziemi o jedną dziesięciotysięczną sekundy. (kr.)



Słynne obserwatorjum w Greenwich

Niedoszła Akademja języka polskiego.

w epoce Krasickiego

Kiedy zaczęły się zawzięte spory Jezuitów z Pijarami o retorykę, raz po raz podnoszono mimochodem i dosyć niewyraźnie myśl założenia Towarzystwa naukowego, któreby się zajęło roztrząsaniem poważniejszych zagadnień naukowych. W związku z tem dowiadujemy się o pewnej akcji niezmordowanego biskupa J. A. Załuskiego około Towarzystwa uczonego i jakiegoś jeszcze innego, które się miało zająć skupowaniem pism zagranicznych i ich kolportażem po kraju. O tych jego poczynaniach tak głucho było już nawet w tamtych czasach, że pijar Wiśniewski błędnie uważał zainicjowane przez biskupa uroczyste akademje ku czci Matki Boskiej za początek przyszłej akademji nauk.

Oczywista, że w epoce stanisławowskiej, znamiennej przez żywszy rozwój literatury, ta myśl o naukowem stowarzyszeniu musiała być bardziej na czasie. Gorączkowy to okres wzmożonej pracy na polu różnych nauk i sztuk, które pod rządami światłego króla, rozgłośnego przez swe mecenasowskie poczynania, mają dożyć jakiegoś nowego rozkwitu, szczęśliwego zrównania się z owym złotym wiekiem zygmuntowskim. Widać w tej dążności dużo entuzjazmu i zapału, łączy się z niemi różne przewidywania, pragnie się wciągnąć do tego ludzi, gorliwiej tym ideom oddanych. Stąd rodzi się potrzeba pewnych organizacyj i towarzystw, bo się wspólnemi wysiłkami rychlej i skuteczniej dojdzie do celu.

Słyszymy tedy o pewnych zamysłach zrzeszenia się troskliwych o losy ojczyzny obywateli, którzy przeprowadziliby kodyfikację nowego prawa; to znowu czytamy o jakiemś towarzystwie, które przedsięwzięło wydawać dobrane romanse i tłumaczyć je z obcych języków; kiedyindziej planuje się na dworze biskupa Massalskiego jakieś większe wydawnictwo literatury ekonomicznej i rolniczej, dla łatwiejszego przeprowadzenia w życiu pięknych haseł fizjokratyzmu; jeszcze gdzieindziej, tym razem w Krakowie, rodzi się pomysł stworzenia Towarzystwa muzyczno - śpiewaczego, rozpatruje jego społeczne zadania i szeroki zakres działalności.

Czasy stanisławowskie obfitę są w te plany i pomysły, dowodząc jakiegoś żywszego ruchu umysłowego, potrzeby jego organizacji.

Ten objaw wystąpił również na polu literatury. Pisano już o ówczesnem Towarzystwie literackiem, które wydało cały szereg pożytecznych książek. Za Towarzystwo staną też nasi literaci z „obiadów czwartkowych", bo ileż tam wyrastą projektów, ile wspólnych, zespołowych przedsięwzięć, zwłaszcza na polu historji, jak im tu pracę ułatwiano, użyczono materjalnego wsparcia. Marzy się pozatem nieustannie o Akademji języka polskiego.

Mówił o jej potrzebie kiedyś Ks. L. Włodek, gorący miłośnik polszczyzny, a potem ciągle się snują echa tej myśli na kartach „Monitora", to znowu Kopczyński nieraz wymieni zadania, jakichby się właśnie podjąć miała. Ale najszerzej rozwiódł się na jej temat Winc. Skrzetuski w mowie „O Akademji języka ojczystego". (Warszawa, 1773).

Ubolewa on nad upadkiem nauk po świetnej epoce zygmuntowskiej, kiedy to dziecinność i głupstwa zaraziły filozofję, zamiast łaciny zjawiła się jakaś dziczyzna, a polszczyznę zachwaściły obce wyrazy. Znowu jednak zajaśniały szczęśliwsze czasy, zdają się odżywiać i zakwitać nauki, trzeba więc szukać środków dla ich rozkrzewienia.

„Jabym sądził — powiada Skrzetuski, — że najpierwej do tego celu wiodące byłoby założenie takowej Akademji, którаby nad wydoskonaleniem ojczystego języka pracowała. I to jest, co radzić dalszem mówieniem będę, w mocnem zaufaniu, że zdanie moje od kochających nauki, kochających dobro narodu obywatelów, mile będzie przyjęte".

Więc zaraz potem podkreśla znaczenie nauk, jako uświetnienie różnych państw. Oto za Augusta w Rzymie, a potem we Francji za Ludwika XIV. nierozdzielnie złączył się rozkwit nauk z potęgą wielkiego państwa.

Tymczasem u nas nie mogą się nauki rozwinąć, ponieważ nie pomnożono i nie wydoskonalono ojczystej mowy, nie stworzono naukowego języka. Z konieczności trzeba się posługiwać językami obcemi, a to kosztuje wiele czasu i niewielu może się przez to zająć naukami.

„Wszakże żaden naród razem (odrazu) do tego nie przyszedł, ażeby mowy swojej krajowej obfitością zaszczycał się; pracowite ludzi uczonych i dobro narodu kochających usiłowania doskonaliły ją powoli, gładząc, kształtując, nowemi wyrazami pomnażając, przekładając na nią wyborniejsze z obcych języków księgi, z własnego tudzież dowcipu i rozumu rozmaitemi ubogacając płodami. A ustanowione przez mądrych królów dziwnie do tego celu użyteczne ojczystego języka Akademje — do tej go doskonałości w czasie krótkim doprowadziły, że się nic nie znajduje tak wysokiego w krasomówstwie, nic tak głębokiego w filozofji, nic tak zawiłego w matematyce, nic tak poważnego w historji, nic tak pięknego w poetyce, nakoniec w innych naukach wszystkich tak znacznego, do czegoby wyrażenia zupełnie nie był usposobiony.

...Dosyć to już dla nas nieszczęścia, że przymuszeni jesteśmy tyle różnych uczyć się języków. W tym przynajmniej ściskajmy naszą ambicję, abyśmy ojczysty doskonale umieć i nim gładko pisać usiłowali...

Któż więc nie widzi, że nad ustanowienie krajowego języka Akademji nic dla narodu naszego być by użyteczniejszego nie mogło. Boć przesądne niektórych rozumienie, jakoby polski język do pięknego pisania nie był zdatny, pochodzi — mojem zdaniem — albo z nieznajomości krajowych ksiąg, albo z głupiej ambicji przesadzenia się nad inszych, chwaleniem tylko obcych zaszczytów, ganieniem rodowitych. Dawniejsi albowiem kraju naszego pisarze, ba i wielu teraźniejszego wieku, chwalebną i szczęśliwą pracą dość jawnie pokazali, że polska wymowa ma swoją przyjemność niepośledniejszą od cudzoziemskich i że może... wyrazić to wszystko, cokolwiek najzawilszego w naukach znajduje się. Wreszcie silniejsze nad wszystkie trudności i nad wszystkie umiejętności dowcipniejsza narodu miłość przy nieustającej pracy dokazałoby zczasem tego, żeby i u nas nie zbywało na wszystkich potrzebnych wyrazach — z jakich się dziś obce chełpią narody".

Po tej pochwale i drogach rozwoju języka polskiego podaje Skrzetuski zadania projektowanej Akademji. Winna ona: wydawać najdokładniejsze słowniki, wyrazy z dawnych autorów, „nowe niby z powagi urzędowej stanowić, które powoli oswoiwszy się z uchem wnijdą w powszechne zażywanie; zagrodzić drogę psuciu polszczyzny przez ogłaszanie wyrazów przyjętych i nakazanych, opiekę nad neologizmami. Trzebaby tedy zgromadzić uczonych ludzi, zachęcić ich nagrodami, a „dostąpiwszy rychle tego, że obcych nauczycielów zasięgać z cudzoziemskich ksiąg nauki szukać... nie będziemy mieli potrzeby, mając w mowie ojczystej w każdym nauk gatunku obfite i wyborne pisma".

Dr. BRONISŁAW NADOLSKI

Z dziejów zbójnictwa w Beskidzie Zach.

Marcin Portasz, harnaś zbójnicki pod koniec XVII w.

W ciągu XVII w. cała Żywiecczyzna żyje w ustawicznej grozie, nieustające napady zbójników, mimo straszliwych kar, mimo walki jaką toczą z łotrzykami zaciągani przez władze harnicy, niebezpieczeństwo napadów wciąż jeszcze zagraża szlachcie, mieszczanom i bogatszym kmieciom i sen od nich odpędza. Dochowane w rękopisie Bibl. Jagiell. Nr. 1106 „Acta spraw złoczyńców miasta Żywca" zawierają z tego stulecia całe litanje zbójników, którzy za „chodzenie poza bucki" schwytani skazywani bywają na śmierć której wykonanie pomysłowi sędziowie umieli w straszliwy sposób urozmaicić. Akta te grozą przejmują czytającego: na każdej niemal stronie kilka wyroków śmierci zaznaczonych lakoniczną zapiską, ścięt i ćwiertowan, wpleciony w koło, powieszon". A nieraz się zdarza, że w jednym dniu kilka czy nawet kilkanaście takich wyroków wydano np. egzekucja „hetmana zbójeckiego" Sobka Burego i siedmiu towarzyszy w roku 1630.

Ostatnim zbójnikiem na wielką skalę pod sam już koniec XVII w. był w tych stronach Marcin Portasz zwany Bzigosikiem z Bystrzycy, postrach tych okolic w 1688 roku. Harnasiował on silnej gromadzie zbójnickiej, do której prócz jego brata Pawła należało jeszcze dwudziestu pięciu innych towarzyszy. Okoliczne dwory i plebanje drżały w obawie przed napadem tego „hetmana". Dnia 16 lipca t. r. pojmali zbójnicy Marcina Jarzka, urzędnika starościńskiego w Węgierskiej Górce, a następnie zaś zrabowali folwark.

Nie zadowolili się jednak łupami zabranemi we dworze, związali więc Jarzka i prowadzili go ze sobą przez sąsiednie wsie Cisiec i Milówkę (ok. 12 klm.) do Rajczy, aby tam w karczmie Wojciecha Ryłki poczekać na okup jaki miała zań uiścić żona. Jarzkowa konno udała się do Żywca, gdzie miała trochę zaoszczedzonych pieniędzy w depozycie i te nie tracąc chwili czasu przywiozła do Rajczy i wręczyła Portaszowi. A okup ten jak na miejscowe stosunki był dość znaczny, wynosił bowiem 360 dukatów i 420 talarów bitych.

Zbójnicy nie dotrzymali przyrzeczenia. Miast puścić wolno Jarzka „tyrańsko aż do śmierci (go) zabili, strzeliwszy mu dwaj z kompanji pod pachy kulami, na placu przed karczmą położyli, kazawszy potem pachołkowi Małemu jeszcze siekierą szyję uciąć, któremu ze szczęką szyję, okrutnie kielka razy rąbiąc, odciął". Sami zaś niezwłocznie zbiegli. W miejscu, gdzie zamordowano Jarzka wystawiła wdowa Bożą mękę kamienną z opisem zbrodni.

Aby położyć kres ciągłym napadom przybyło wtedy do Żywca 40 „piechoty zamku krakowskiego" w celu przeszukania lasów i zlikwidowania całej bandy. Zadania tego jednak nie udało się im wykonać. Wprawdzie uwięzili oni szereg podejrzanych, których zamknięto w lochach żywieckich, a potem odesłano do krakowskiego zamku, ale byli to przeważnie ludzie niewinni, których wypuszczono na wolność. Jedynie Tomasza Wajdka zwanego Dudkiem i jego córkę Reginę ścięto za utrzymywanie stosunków ze zbójnikami. Tymczasem jednak karna ta ekspedycja zdołała pojąć kilku zbójników, może nawet towarzyszy Portasza którzy wkrótce zakończyli na szubienicy „i gorące prawo było, że w krótkim czasie dosyć złoczyńców pogniło".

Po całem tem zajściu Portasz, nie czując się bezpiecznym uszedł z bratem swoim Pawłem na Węgry i tam „miasta wielkie we Węgrach, w Raskuszach, Czechach i we Śląsku obchodził". Nie były to zaś zapewne jakieś krajoznawcze tylko wycieczki, ale do jego zagranicznych występów nie posiadamy żadnych danych źródłowych.

Po pewnym jednak już czasie wrócił do Polski i został w Krakowie przychwyconym na sprzedaży łamanego srebra żydowi. Przybył on wtedy do Krakowa w charakterze kupca węgierskiego, miał zaś ze sobą studenta z Węgier, „który języki węgierski, niemiecki, łaciński umiał". Postawiony przed rotmistrzem na zamku krakowskim nie stracił Portasz odwagi i spróbował użyć fortelu. Dał więc w zastaw srebro i zobowiązał się dostarczyć świadectwa wiarygodnego „jako kupiec ućciwy jest". Ponieważ go nikt w Krakowie nie znał fortel się udał, wypuszczony na wolność zrezygnował ze złożonych w formie zastawu kosztowności i natychmiast ulotnił się z Krakowa.

Postąpił jednak bardzo nierozsądnie. Zamiast bowiem się ukryć na jakiś czas, udał się on na Żywiecczyznę. Może chciał nanowo zorganizować dawnych towarzyszy, może chciał odwiedzić kochankę?

W same Gody w nocy przyszedł do Milówki i strudzony puka do okna Reginy Dudkowej, której męża i córkę niedawno stracono i prosi ją o trochę mleka. Pokrzepiwszy się ruszył w dalszą drogę. Dudkowa nie potrafiła zamilczeć o odwiedzinach słynnego harnasia i „wiadomość zlekka na wieś dała, że Martyn samotrzeć idzie".

W ślad za nim wyruszyli chłopi, którzy prawdopodobnie prześladowani byli przez władze za sympatyzowanie ze zbójnikami. Sympatje do niego po rozproszeniu „towarzystwa" musiały wygasnąć, a prawdopodobnie może i jaka nagroda wyznaczona za schwytanie Portasza, podniecała Milowian. W kolebie na łące Srobitej pojmali oni tedy suszącego się przy ogniu Portasza i jego trzech towarzyszy i odstawili ich do zamku żywieckiego.

Tam stale trzydziestu zbrojnych mieszczan pilnowało cennej zdobyczy. Indagacje sądowe odbywały się w lochach zamkowych, gdzie „pochodniami smolanemi onego męczono". Portasz został skazany na śmierć.

Egzekucja odbyła się dnia 16 stycznia 1689 roku, na Górze Grojcu nad

Solą. Sprowadzony z Krakowa kat Jurek jako specjalista miał jej wykonania przypilnować. „Naprzód mu pasy dwa na plecach udarto i dwie ręce ucięto, a na ostatku żywo na haku jako hetmana zawieszono". Brata jego Pawła już nie męczono z takim okrutnym ceremonjałem, wszak zwyczajnym tylko był zbójnikiem, ale tylko „kołem połamanego do koła wpleciono".

Ostatnią prośbę Portasza, zmierzającego już na śmierć była prośba o wpisanie go do bractwa różańcowego. Dbał więc o swą duszę i był na zbójnicki sposób pobożnym. Tej jego ostatniej prośbie stało się zadość; ks. Myszkowicz, wikary żywiecki wpisał obu braci do księgi bractwa: „...famosus ille provinciarum terror Martinus Portasz cum fratre suo Paulo captus, dux latronorum... ante executionem... petit inscribi in album confraternitatis sanctissimi rosari cum fratre suo Paulo adeoque inscribitur".

W 1689 roku podstarościm żywieckim został Gabrjel Drozdowski, który bardzo energicznie zabrał się do wytępienia zbójnictwa. „Wiele egzekucyj złoczyńców działo się, zginąwszy ludzi różną śmiercią 35 przez lat 10, gdyż był bardzo ostry i surowy na tych występników".

Zbójnictwo na jakiś czas zostało przytłumionem i dopiero władze austrjackie już pod koniec XVIII w. znów wiele miały kłopotów z nową, ale największą za to, bo do 200 członków liczącą bandą Proćpaka ze wsi Kameszznicy.

Mgr. Stanisław Szczotka
(Kraków)

„Kabała"

Od kiedy karty są znane, znana jest i kabała. Systemów kładzenia kart jest wiele. Są kabały rosyjskie, fracuskie, hinduskie, mieszane. Są kabały złe i dobre. Nie w swej wyroczni, lecz nastroju i atmosferze, w której powstają. Najmilsze są te, które w piątek wieczorem kładą czyjeś znajome, poczciwe ręce. Droga niedaleka... strata, która się wróci... brunet myli, ale blondyn na sercu, przykrość w domu... i list z dobrą nowiną. Taka kabała zawsze się sprawdza. Potem jest druga, która ma w sobie może mniej uroku, zato zyskuje na posmaczku leciutko ostrym: zaprawionym najmilszą dawką: plotki i intrygi. Taka bywa kładziona w salonie na popołudniowych przyjęciach. Wróżby jej gryzie się lekko na zmianę z ciastkami popijając herbatą. Śmieje się co drugie słowo, jest w miarę niedyskretna. Bruneci, blondyni zmieniają się w młodych ludzi doskonale ubranych. Królowie w zazdrosnych mężów, damy w przyjaciółki, których należy szukać wokoło. Mówi o flircie, skandalikach, zaczepia o ciche rendez - vous i leciutko stara się kompromitować mężatki. Taka kabała lubi być czasem nawet zjadliwą. Ale są inne. Złe, wyhodowane w zgniłej atmosferze izb podwórzowych zawodowych wróżbiarek. Tam króluje as tref — sprawa urzędowa i list... sąd... policja. Walet czarny i czerwony — trunek z brunetem — dama pik zmienia się w rywalkę, trzymającą w popękanej dłoni flaszkę z witrjolem, a walet trefowy, karowy i dyska pik, mówią o nożu, zemście, zdradzie, którą pieczętuje as pikowy — śmierć. Śmierć niedobra, pełna brzydoty i trywialnej, niezdrowej sensacji. Taka wznieca mściwość i każe gorączkowo świecącem spojrzeniem szukać koło siebie tej, która rzuca urok ulicznej kobiecości na chłopca kochanego. Taka kabała jest lepka, wczepią się w mózg i brudzi myśli.

Ale czy widział kto już chłopską kabałę? bez reklamy, bez szeptów dwuznacznych, bez tajemniczych znaków. Widział już kto? Prawda, że nie. Przysiadła sobie oto na przyżbie między opłotkami i czeka, komuby tu mądrości prawić. Poszłam raz do worożychy. Ponoś doskonale mówi, jak zapewniał furman. Niech komu kto konie ukradnie, niech ul rozbije, pszczoły podurzy i miód wybierze, niech zboże zajedzie — baba zaraz, po medytacji powie kto, gdzie, skąd, sąsiad to, czy obcy, włóczęga zatracony. A jak zeszłego roku tej pani rosjance, co to we dworze za gospodynię była, klucze zginęły i wszyscy szukali i jakby się w wodę zapadły, to baba jak nic wskazał na pokojówkę Józefkę, co to aż z Ameryki przyjechała. I takoj znaleźli. Poszłam więc. Było wczesne popołudnie, żółte, spokojne, w sobie przyciszone. Pierwsze dnie lipca, co to niosą już przed smak jesieni, smętek astrów i napuszoną urodę słoneczników. Na małem, czysto wymiecionem, schowanem między chałupami podwórku pusto było. Na prawo za płotem kołysała się pakulasta kita kukurydzy, koło której uwijały się ciekawie wrony, bliżej mała szopa, z za której drzwi zamkniętych dochodził jednostajny, porykliwy płacz cielęcia. Na przywitanie wybiegły trzy szczeniaki i z okropnym piskiem zaczęły się łasić, to uciekać. Za nimi wykokosiła się wszystkowiedząca czarna kura, wiodąca drobny rój żółtych jak kwiat łubinu kurcząt. Po drodze zaczepiła się ostro z psiakiem, który gwoli radości, czy też koleżeństwa skubnął poufale jedno z pierzastych dzieci. Pies pisnął jak mógł najcieniej i okręcił się niewiadomo dlaczego dokoła własnego ogona, a kwoka, świadoma swego dostojeństwa i sprawiedliwej godności, zagdakała jeszcze coś na odchodnem, a ciele zaryczało jeszcze głośniej. Potem całe towarzystwo ucichło jakoś. W obejściu nikogo nie było.

Usiadłam więc na ławie biegnącej wzdłuż ścian chałupy i czekałam.

Słońce zaczęło powoli wsysać się w skórę, dotarło do kości, rozmiękczyło je, pozbawiło sztywności, naprowadziło myśli jakąś leniwość, senność i spokój. Z za parkanu i kukurydzy dolatywał ostry zapach rozgrzanej zieleniny, od szopy z milczącem teraz cielęciem, zapach siana, krowy i schnących desek. Tylko wiatr mruczał coś niewidocznie między drzewami, tylko zdaleka dudniła woda pod mostem a na moście czyjeś głuche kroki, tylko muchy brzęczały jak ogromna, srebrna pajęczyna trącona nieostrożnie łapą pająka. Nagle, bezszelestnie, gdzieś z za płotu ukazała się wysoka, strzelista baba, z pomarszczoną jak ręka, ptasią twarzą. Na głowie miała chustkę zawiązaną jak kołpak. Koło spódnicy i fartucha plątał się mały trzyletni chłopak z twarzyczką całą w krostach. Znałam go. Przecież to ten sam bąk niegrzeczny, który wczoraj niewiadomo dlaczego ryczał w niebogłosy na środku gościńca, a zapytany o przyczynę rozryczał się jeszcze bardziej i ile sił w małych nóżkach uciekł przez dziurę w płocie, ukazując na pożegnanie szerokie w pasie, bo opadające poniżej pasa, porcięta. Baba uśmiechnęła się przyjaźnie i już chciała coś rzec na powitanie, gdy nagle z za spódnicy, fartucha i pryszczatego bachora, wypadła z wielkim krzykiem czarna, jak wrona, mała jak indyk, z wąsami i brodą terriera suczka, zapewne matka trzech kulastych psiaków. Przypadła do bucików, nawrzeszczała, cofnęła się błyskawicznie tyłem, ogonem legawca zamiotła źdźbła słomy na podwórzu, aż kurz poszedł jak na gościńcu i z okropnym jazgotem, przy małej, solidarnej pomocy potomstwa zaczęła regularne oblężenie ławki, na której siedziałam. Baba machając rękami starała się psa uspokoić, mały zaczął płakać (widać z natury był beksiwy) zamknięte cielę ryczeć, kwoka jak i jakieś niewidzialne, ale słyszalne kokosze gdakać, a kot śpiący widać błogo na poszyciu dachu, zeskoczył oszalały między kurczęta. W jednej chwili na spokojnem podwórku zrobił się tumult. Baba pchnęła drzwi chałupy, prosząc bym weszła pierwsza. Już stawiałam nogę na wysokim, wyślizganym progu, gdy nagle — doprawdy nie wiem, jak to się stało — z głębi mrocznej sionki wykatulało się z okropnym piskiem jedno z dzieci wąsatej suczki, a kwoczka, która jeszcze przed mgnieniem oka była na podwórzu, wyleciała za niem z izby, dzióbiąc i przepędzając jak cyganiuka. Dzieci i zwierzęta to stwory, którym zdaje się jest dozwolonem, operować tajemnicą czwartego wymiaru, pozwalając na nieuchwytne dla człowieczego oka błyskawiczne zmiany miejsca i przestrzeni. — Nareszcie wszystko się uspokoiło, obładziło i baba z dobrym uśmiechem, który z wąskich ust przeskoczył w niebieskie, poczciwe, głęboko osadzone oczy, wskazała mi miejsce pod oknem, bym usiadła. Izba była mała, ciemnawa przez jedno, napół ślepe okienko, ale czysta. Tylko gorąco bez oddechu buchało z rozgrzanych słońcem ścian i z wygasłego paleniska, tylko wielka, srebrna, brzęcząca pajęczyna much rozbrzmiewała w izbie jak dudnienie silnika. Były ich całe roje. Osiadły czarnemi plamami na ścianach pieca, jak ruchoma mapa przesuwały się po pułapie, jak gęsta siatka przelatywały przed oczami, siadały momentalnie na rękach, nogach, twarzy, plątały we włosach, właziły do nosa. Oganiając, rozglądałam się nieznacznie po izbie. Nigdzie szczególnych znaków, nigdzie znamion charakterystycznych kabały i wróżby. Na prawo dostrzegłam w mroku mały ołtarzyk z figurką Matki Boskiej. Obok, tuż za słoikiem z kwiatami i wygasłą lampką oliwną, leżała jakaś brudna kupka śmieci. Tu leżały karty. Naturalnie — wróżba wiejska łączy się silnie z wiarą. Nigdy karta zwykła nieprzeżegnana nie powie prawdy, nigdy ziele niepoświęcone w kościele przez księdza nie przyniesie dziewczynie szczęścia, nigdy szczypta popiołu owinięta w gałganek, jeżeli nie leżała podczas nabożeństwa w kącie ławki nie przyciągnie tego, który odszedł, a który jest tak oczekiwany. Baba z namaszczeniem sięgnęła do ołtarzyka. Uśmiechając się wciąż niewidocznym uśmiechem oczu, patrzyła mi badawczo w twarzy, jakby chciała wyczytać z niej, jakie troski, jakie niepewności przywiodły do tej izby. Potem niezdatnemi rękami zaczęła tasować powoli karty. A karty nie były do kart podobne. Wytarte aż do swego kośćca prawie, poszarpane przez lata i losy, które przyniosły, popstrzone przez muchy i pająki, były czemś trudnem do rozróżnienia. A przecież te ślepe, wypłowiałe obrazki oznaczały dla starych, mądrych oczu króla, damę, waleta, dziesiątkę... I zaczęła się kabała taka sama jak inne, z tą tylko różnicą, że mniej rozumiana. Zmieniła się terminologja. Zruszczona polszczyzna zastąpiła coeur, caro trefl, pik..., jakieś wyrazy pozostałe jeszcze z czasów rozkwitu Ziemi Czerwieńskiej zaczęły opadać cicho jak ziarenka hreczki. Proste, spokojne, ale bezwzględne w swej dobrej wierze w siebie. Losy zaczęły się ważyć. Nieśmiałe pytania pozbawione jakiejkolwiek niezdrowej ciekawości miejskich wróżek, chytrze po chłopsku ostrożne odpowiedzi i znów strzępy kart tasowane niezdarnie niezdarnemi palcami. Jeden rząd, drugi, trzeci i kilka kart pozostałych luzem... Chłopak durzy a durzy, ali win nie jest wolnyj... ni... inu, że on zwitki priszoł... fant macie w domu pannoczku, fant... a wit i wże prisziło co buło, minęło i wżę już je pogoda, słonko świeciat wam na dorodze. Chmury buli, czarnyje wieligie chmury, ale wit poszli... i wam dobre budu panoczku, duże dobryj.. tak karta prawdu skaże, szo wy mieli wieligi smutek, ali wam każu szo zautra wsio bude dobre... tak panoczku, karta prawdu każe.. czujete... i t. d., i t. d. spada ziarnko po ziarnku... pół polskiej pół ruskiej wróżby, tylko, że ta pozbawiona jest jadu, pozbawiona złości przeciwnego losu, pozbawiona intrygi i uczucia niesmaku. Jak kto ma być szczęśliwy, to i będzie. Jeden los wszystkim ludziom. Tylko przez każdego inaczej pojęty. A jak ma umrzeć — bo to w kabale jest najgorsze — to i umrze. Ze śmierci nie trzeba robić strachu czerni, odczynianego pieniądzmi... jeden los wszystkim na tej ziemi... Brzęczały muchy, wąsata suczka ujadała gdzieś na gościńcu, mały pryszczaty chłopak marudził coś cicho w sieni, pogdakiwała w kącie szeroko rozsiadła kwoka z kwoczętami... Zebrać karty w trzy kupki... środkową odwrócić... i ta trzy karty lewą ręką... dwie karty... i ta jedna,, najważniejsza... Dobre budu, dobre... Przez niskie drzwi wsunęła się jakaś pochylona postać... „Chwała Jezusom Christom..." przyleciało od drzwi szeptem... „Chwała na wiki..." A szo hoczesz Paraska? A ja priszła... I słowa zgubiły się w niewidocznym w mroku spojrzeniu skierowanem w moją stronę. Odsunęłam się od kart i baby zostawiając wolne miejsce. Zachęcona przez gospodynię usiadła i milczała. Baba milczała również. Dopiero po chwili rzuciła niedbale jedno pytanie, drugie, o dom, krowę, o łąkę czy skoszona... blade odpowiedzi i dziewczyna pochyliła się nagle ku niej i z gorących, spragnionych pocieszenia warg zaczęła spływać bezładnie, z wielkiem ograniczeniem słów i określeń z całem ubóstwem chłopskiego wysłowienia, skarga. Takich zwierzeń i takich słów nie słyszy się nigdy we dworze. Jest to moment otwarcia mroku myśli, szczerość ludzka prawdziwa, biednie kobieca bezradna, pozwalająca choć raz dotrzeć do zrozumienia obcego i niepojętego dotychczas człowieka. Baba kiwała głową patrząc poprzez coraz gęstszy mrok w rozpaloną twarz dziewczyny. A potem wstała i wyszła. Wróciła za chwilę, wydobyła jakąś stara, brudną małą chustkę. Znów wyszła. Wróciła, niosąc w chusteczce zawiniętą, jak sie potem okazało szczyptę popiołu. Zaczęła grzebać patykiem koło paleniska. Wszystko co robiła było jakby bezwolne, niedbałe, jakby nie mające z wróżbą nic wspólnego. Wygarnęła z paleniska sporą garść zczerniałych węgli, usypała w kupkę na podłodze przed dziewczyną. Potem znów zaczęła się bezradnie kręcić po izbie, wyjęła z pudełka dwie zapałki, zatknęła w węgle, zapaliła trzecią i kazała wzruszonej, pojmującej ważność chwili przejść nad ogniem trzy razy. Potem szybkim jak mgnienie oka ruchem wydobyła z gałganka przyniesiony popiół i ogień nim zasypała. Szepnęła coś skupionej w sobie i zamienionej w wzrok Parasce, ta wydobyła z zanadrza jakiś list i podała go zdecydowanym ruchem. Baba wygładziła papier, wyprostowała palcami, zatknęła w popiół i węgiel nowe zapałki i zakreśliła nad ogniem trzy razy koło. Dobre bude... wróci... wróci... do tiebia szczastje... win wróci... Wróci? — pytały bezszelestnie usta — Wróci... takoj i tiebie w sercu maje. Zebrała popiół, wrzuciła go z powrotem w palenisko. Nadwęglone zapałki połamała i schowała do pudełka, a gałganek trzymany w ręce z resztą popiołu zawinęła starannie, owiązała sznurkiem i wręczyła dziewczynie... To schowaj, zanieś do domu i tak, żeby nikt nie widział, połóż gdzieś pod kamień, a siódmego dnia rzuć za siebie, ale ani się oglądnij... Potem wzięła dwa spalone węgielki, owinęła w papier... Noś przez dziewięć dni i ani nie zajrzyj do środka. A dziewiątego rzuć przez lewe ramię i przez dziewięć dni nie przychodź do miejsca gdzieś rzuciła. Chłopak wróci do ciebie. Nie bój się, wróci...

Z ciężkiem westchnieniem, ale takiem lżejszem sercem podniosła się Paraska z ławy. Coś zamruczała do baby, coś baba odmruknęła, dziewczyna wydobyła z za fartucha jakieś zawiniątko i położyła na przypiecku. „Sława Jezusom Christom"... „Sława na wiki"... i wyszła tak cicho, jak przyszła. Tylko kwoczka zaniepokojona ruchem zagdakała kłótliwie w kącie nad kwoczętami. Mrok w izbie spopielaciał zupełnie. Gdy wyszłam na dwór, jasne, przedwieczorne światło zapiekło ostro w oczy. Owionęło mnie świeże, chłodne powietrze, doleciał ostry zapach pokrytej rosą zieleniny i cierpki, świeży jak woda, zapach macierzanki, który niewiadomo skąd przyleciał tu na podwórko. Psięta skulone jedno na drugiem, pokwękując i popłakując cichutko spały pod ławą, a przeniklіwy głos latawicy matki dochodził tym razem z za parkanu i z za kukurydzy, mieszając się z ujadaniem dziesiątek psów, oddalonych, strategicznie rozmieszczonych po wszystkich kątach wsi i sadów. Niebo było pogodne, mocno niebieskie na wschodzie, zjaśniałe i pożółkłe na zachodzie. Zwiastowało na jutro pogodę i słońce. Jak ta chłopska prosta i bezwiedna kabała.

TEODOZJA LISIEWICZ.



ŚWIAT KOBIECY

Ploteczki o modzie

— Jeden z najmodniejszych magazynów paryskich wystawia suknie wieczorowe... z krynoliną. Spodnica, do kolan bardzo wąska i obcisła, rozszerza się poniżej kolan, tworząc rodzaj krynoliny, jednak tylko napół sztywnej. Najodpowiedniejszym materjałem na tego rodzaju kiowny strój, odpowiedni tylko dla zupełnie młodych kobiet, jest organdi w jasnych pastelowych kolorach.

— Nowością są bransoletki z kwiatów. Widzieliśmy też małe bukieciki z kwiatów sztucznych, przypięte do dekoltu lub we włosy, — a to z kwiatów, podobnych w kolorze i rysunku, do deseni kwiatowych na materjale, z którego zrobioną jest suknia.

— Na plaży nosi się parasolki z odpowiednio preparowanych nici szklanych. Wygląda to bardzo dekoratywnie, a łagodzi żar promieni słonecznych.

— Lekkie płaszczyki z jedwabiu lub cienkiej wełny, nosi się zwykle spięte pod szyją na jeden guzik lub klips, tak, że poły rozwiewają swobodnie.

— Widzi się dużo kamizelek, stanowiących piękne urozmaicenie każdej sukni. Kamizelki przeważnie bardzo proste w kroju, ale szykowne i eleganckie, mogą być zapinane z przodu lub z tyłu. Najładniej wygląda kamizelka z białej piki, mało wycięta, zapinana na kryształowe guziki.

— W kostjumach sportowych dominuje kombinacja białego z jasno - niebieskim. W tym ostatnim kolorze bywają zwykle kieszenie, paski, ewentualnie i kapelusik.

— Tegoroczne kostjumy kąpielowe odznaczają się zupełną prostotą. Najmodniejsze są w kolorze bronzu, we wszystkich odcieniach, — chociaż i czarne, jak zawsze, cieszą się dużem powodzeniem.

— Nieodzownym dodatkiem do kostjumu kąpielowego jest słomkowy kapelusz o szerokiem rondzie, celem ochrony przed zbyt silnem działaniem słońca. Bardzo praktyczne i milutkie, zwłaszcza dla młodszych osób są kapelusze z białej piki.

— Czarny kostjum wygląda zawsze bardzo elegancko i dystyngowanie. Dla ożywienia całości nosi się do niego bluzki białe lub różowe. Te dwa kolory uznały Paryżanki za najodpowiedniejsze.

— Strojne toczki do toalet wieczorowych przybiera się piórami z rajskich ptaków, opadającemi niekiedy aż na plecy.



KĄCIK KOSMETYCZNY

Piegi

Lato. Coraz więcej przebywamy na powietrzu i słońcu, a wiosenne słońce ma dziwną moc. Nietylko młode serce ożywia i utajone uczucia na jaw wydobywa, ale pod wpływem promieni słonecznych w organizmie całym zachodzą zmiany. Już po krótkiej przechadzce, po kilkugodzinnym pobycie na świeżem powietrzu pojawiają się na twarzy i ramionach małe jasno-żółte i bronzowe plameczki; to ten przykry posiew słońca — piegi. Rokrocznie te same sprowadzają kłopoty, telefony, zapytania, troski, co i jak robić, jak złemu zapobiec.

Przedewszystkiem pamiętać należy, że piegi zjawiają się przeważnie tylko u osób o wrażliwej cerze, a dalej, że nie muszą się wcale ukazać. Łatwiej jest od piegów się uchronić, niż je potem usuwać. Nie jedna Pani rezygnuje zatem wogóle z tzw. opalania się i przezornie osłania twarz kapeluszem czy parasolką. Dziś wpływ promieni słonecznych i to bezpośrednio na skórę działających jest hasłem zrozumiałem i aktualnem. Ale postępować należy rozsądnie i z umiarem.

Piegi zjawiają się zarówno na twarzy, jak i na szyi, ramionach, i rękach. I pierwsza myśl, prosta i celowa, to: uchronić te partje warstewką pudru lub kremu, tak by z jednej strony odżywczego działania słonecznych promieni nie tracić, a z drugiej nie narażać się na plamy i pękanie przesadnie wysuszonej skóry. Puder jest łatwiejszy do nałożenia, jest jednak nietrwały a zbyt grubo nałożony tworzy zbitą, spoistą warstwę. Lepsze i skuteczniejsze zastosowanie znajdzie dobry krem. Ale kremów takich jest strasznie dużo — a Panie często zapominają, że krem musi być naprawdę bardzo dobry, odpowiednio odcieniem dobrany i umiejętnie nałożony. Najlepsze kremy wyrabiane są zazwyczaj w kilku odcieniach (np. „Protecta Creme" Elizabeth Arden istnieje w pięciu odcieniach), i rozcieńczone rozprowadza się je płatkiem waty po twarzy, szyi, ramionach; resztę należy osuszyć. W ten sposób tylko cienka warstwa chroni skórę od plam, a zarazem nie zamyka por. Można później lekko twarz i ramiona pudrem przysypać, — zwłaszcza u Pań, które dużo na słońcu przebywają, u sportsmenek itd. Dobry krem taki służy zazwyczaj przez lato i jako podkład pod puder, stąd też konieczność doboru odcienia. Skóra nabiera wtedy miłej, ciepłej barwy, bz jakiegokolwiek działania wypełniającego kontur twarzy, co jest wadą wciąż powtarzająca się tanich, „uniwersalnych" kremów. Pozatem tylko dobry krem jest odporny na wodę i krople potu — a więc doskonale nadaje się podczas „plażowania", kąpieli morskich itp.

O wiele trudniej jest już, gdy chodzi o usuwanie przedawnionych i przestarzałych, z roku na rok pojawiających się piegów. Wtedy trzeba nieco cierpliwości i wytrwałości, by zabieg aż do skutku przeprowadzić, naskórka nie forsować, ale postępować systematycznie i łagodnie. Wskazanem jest wtedy wpłynąć na wyjaśnienie (wybielenie) cery wogóle, a dopiero potem skupienia bledszych już piegów intenzywniejszym, lecz nie zbyt silnym środkiem usunąć. (Bleachine Creme). Po kilkakrotnym zabiegu piegi bledną i znikają.

OLA,

Trzy komplety na wyjazd

Komu stan zdrowia zdrowia nakazuje, a stan... kieszeni pozwala na wyjazd do pierwszorzędnych miejscowości kuracyjnych, — musi zaopatrzyć się zawczasu w odpowiednią garderobę.

Zasadniczo wystarczą — poza skromnemi a prostemi sukienkami domowemi — trzy toalety, których wzory podajemy:



1) elegancka jasna suknia wieczorowa z organdi w barwne, kwieciste desenie,

2) wełniany komplet spacerowy, skombinowany z taftą w tym samym kolorze (najodpowiedniejszy będzie niebieski),

3) kostjum tailleur z białą kamizelką na przedpołudnie.

Poradnik dla gosposi

GALARETKA Z RABARBARU

3/4 litra wody gotować z 25 dkg cukru i laseczką wanilji przez 5 minut, następnie włożyć obrany i pokrajany rabarbar (1/2 klg); gdy będzie miękki, zestawić, dodać rozpuszczone w letniej wodzie 2 1/2 dkg żelatyny, przecedzić przez flanelę, doprawić do smaku, wlać w szklaną salaterkę zastudzić. Gdyby była mętna, sklarować białkiem.

MUS Z RABARBARU

Przyrządza się tak samo, jak galaretkę. Przecedzić, ostudzić i obijać na zimnie lub lodzie tak długo, aż utworzy się piana. Gdy zacznie tężeć, włożyć w formę spłókaną wodą i wysypaną cukrem i postawić w zimnem miejscu na 2—3 godziny.

BUDYŃ Z RABARBARU

Utrzeć 4 żółtka z 15 dkg cukru do białości, dodać skórki cytrynowej lub wanilji, pianę z 4 białek, tartej bułki 3/4 szklanki i rabarbar (1 funt), pokrajany na 1 cm kawałki, wymieszać wszystko lekko i włożyć do formy budyniowej wysmarowanej masłem i wysypanej tartą bułką, zamknąć szczelnie i gotować na parze 45 minut. Podać z sokiem lub słodzonem.

Elegancka bluzka wizytowa

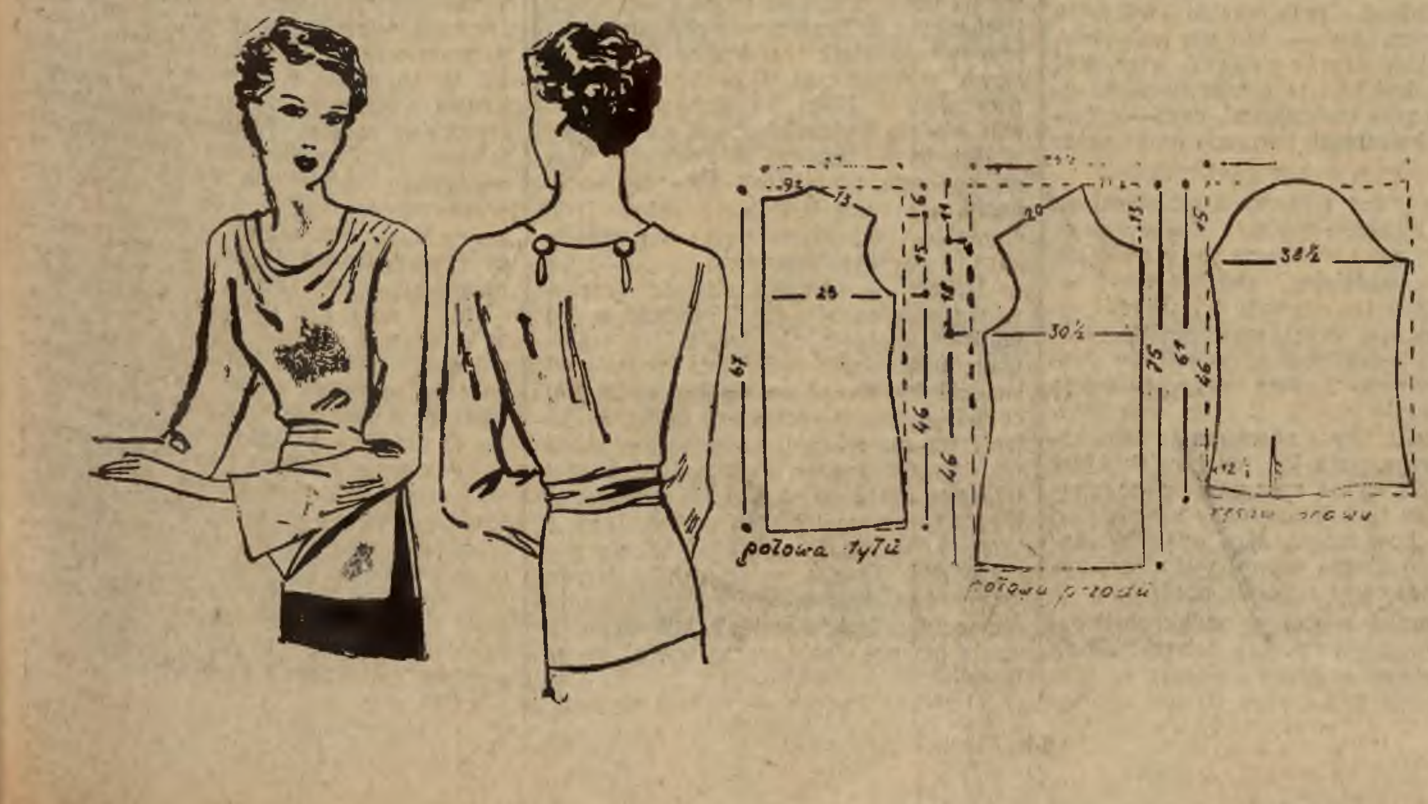
Dajemy dziś krój eleganckiej bluzki z crêpe satin z małą baskiną, odpowiedniej na wizyty i przyjęcia popołudniowe.

Potrzeba na nią 2,75 mtr. materjału, szerokości 1 mtr. Najodpowiedniejszemi będą kolory pastelowe, błękitny, różowy, ewentualnie biały.

Zarówno przód jak i tył krajemy podwójnie; prosta nitka z przodu na wysokości 62 ctm., z tyłu na wysokości 64 ctm.

Do przepasania służy pasek, szerokości 7 ctm, o długości 1.60 mtr., związany z boku na dużą kokardę o końcach skośnie ściętych.

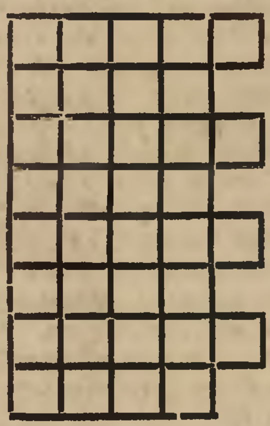
Na rysunkach podajemy widok ogólny tej bluzki z przodu i z tyłu, przyczem można, jak na rysunku, zrobić z tyłu dwa niewielkie rozcięcia, zapinane na duze guziki.



DZIAŁ ROZRYWKOWY

Eliminatka

(ułożył „Perkun")



W kratki proszę wpisać poziomo ośm wyrazów o niżej podanych znaczeniach.

Eliminując z wyrazów tych litery mieszczące się w „kluczu" odczytamy rozwiązanie.

„Kluczem" są znane piękne drzewa, używane do obsadzania dróg.

Znaczenie wyrazów: 1) chata Eskimosów zbudowana ze śniegu, 2) „zbiór", 3) puste rozległe tereny w miastach, 4) liczebnik nieokreślony, 5) wyspa duża na Morzu Śródziemnem, 6) aljaż metali, 7) służą do ogrzewania, 8) rodzaj kapusty.

* * *

Kryptogram

(ułożył „John Bull")

Z wyrazów poniższych proszę wybrać kolejno po trzy obok siebie stojące litery (z ostatniego słowa 4 litery), które czytane razem utworzą znane przysłowie:

Pokaż, medal, cisza, kasta, powój, pogoń, koncha, waliza.

Przestawianki „wodne"

(ułożył Cri-cri)

WODA + rak + atu = jeden z wolnych zawodów

WODA + pilny = fundamenty

WODA + czyni = występują na arenach

WODA + koł = narzędzie rzemieślnika

WODA + piekł = przetwory owocowe.

* * *

Sprostowanie

W „Łamigłówce telegraficznej" zamieszczonej w nr. 151 z dnia 2 bm. opuszczono przez przeoczenie znaki + —, na oznaczenie **czwartego** wyrazu, co niniejszem prostujemy.

* * *

Termin nadsyłania rozwiązań: środa 19-go czerwca.

Nagroda do rozlosowania: interesująca powieść.

* * *

Rozwiązania z nr. 144.

Kółeczka: Alibi, aorta, Bajan, album, akcja, kniaź, puzon, bočki, kakao.

Przestawianki: Lemonjada, astronomja, tajemnica, megalomanja, jaśmin, mezaljans.

Szarada: Maj uroczy cieszy oczy.

Eliminatka: Dawid, Kato, bard, hala, buda, gody, „Klucz": ballady. — Wiktor Hugo.

* * *

Rozwiązania nadesłali

ze Lwowa pp. J. Kwiczoł, Br. Ostrowski, Eug. Dworski, Marja Dworska, Stan. Krzywobłocka, M. Łesiuk, Roman H., Anna Woroniecka.

z Warszawy pp. J. Alis, B. Bieńkowski, L. Ciesielski, Z. Garliński, J. Gill, J. Gilewicz, „Junona", R. Klimczak, Cz. Kozłowski, N. K. Kozłowski, N. Sławnicki, inż. Z. Słowikowski, „Trzynastka", W. Ustaszewski, M. Wysocka, H. Silczyńska, W. Nowicki.

z prowincji pp: E. A. (Otynja), M. Lityńska (Przemyśl).

Nagrodę uzyskała p. M. Lityńska w Przemyślu. Książkę wysyłamy.

Polska na szarym końcu

W jednym z fachowych czasopism francuskich znajdujemy ciekawe daty co do rozpowszechnienia radja we wszystkich ważniejszych krajach europejskich z wyjątkiem Sowietów.

Z zestawienia tego wynika, że krajem, posiadającym najwięcej radjoabonentów jest malutka **Danja,** gdzie na każdych tysiąc mieszkańców przypada 154 odbiorników.

Drugie miejsce zajmuje **Wielka Brytanja,** gdzie z końcem roku 1934 zarejestrowano 6½ miljona radjoabonentów, co odpowiada stosunkowi 141 aparatów na każde tysiąc mieszkańców.

Następnie idą kolejno:

Szwecja (113 aparatów na tys. mieszk.)
Austrja (83 " " " "
Niemcy (83 " " " "
Szwajcarja (82 " " " "
Belgja (67.5 " " " "
Holandja (61 " " " "
Norwegja (51.5 " " " "
Czechosłow. (43 " " " "
Francja (40 " " " "
Węgry (38 " " " "
Finlandja (38 " " " "
Polska (12 " " " "
Włochy (8.5 " " " "
Hiszpanja (5.5 " " " "
Rumunja (5.5 " " " "

Jak z powyższego zestawienia wynika, Polska zajmuje wśród państw europejskich bardzo poślednie miejsce czternaste z rzędu.

Pewną pociechą może być dla nas, że we Włoszech stosunek ten przedstawia się jeszcze gorzej. Ale trzeba pamiętać, że cyfry te obejmują tylko rok 1934, i że od tego czasu radjofonja włoska wykazuje dalszy i to silny rozwój.

Oczywiście trudno nam obecnie marzyć o zrównaniu się pod względem ilości radjoabonentów z Wielką Brytanją, czy choćby Szwajcarją lub Niemcami. — W każdem z tych państw działa cały szereg specjalnych czynników, powodujących silny rozwój radjofonji.

Co do Wielkiej Brytanji, to zasięg jej radjofonji obejmuje dosłownie całą kulę ziemską; niema jednej rodziny angielskiej, którąby nie miała kogoś z krewnych w dalekich kolonjach. Radjo stało się tam niezbędnym, niezawodnym łącznikiem, stało się jeszcze jednym symbolem potęgi wielkobrytyjskiej.

Szwajcarja, raj turystów, siedziba Ligi Narodów i międzynarodowych konferencyj, docenia należycie wartość i znaczenie radjofonji, jako instrumentu kulturalnej propagandy.

W Niemczech wreszcie rządy hitlerowskie wprowadziły pewnego rodzaju przymus radjowy, czem tłumaczy się gwałtowny wzrost radjoabonentów od czasu reorganizacji radjofonji niemieckiej i poddaniu jej wpływom czynników rządowych.

Ale sięgnijmy do sąsiadów naszych w powyższej tabeli.

Oto maleńkie Węgry, liczące 8,734.000 ludności, posiadały w r. 1934 przeszło 330 tysięcy radjoabonentów. Oto Finlandja ze swojemi niespełna 3½ miljonami ludności wykazuje 121 tysięcy radjoabonentów, czyli 35.5 na tysiąc.

A nikt chyba nie zaryzykuje twierdzenia, jakoby Węgry czy Finlandja stały wyżej od nas pod względem kultury i bogactwa narodowego!

Więc naprawdę, ambicją naszą być winno, abyśmy w ciągu tego roku zrównali się choćby... z Finlandją, aby liczba radjosłuchaczy w Polsce przekroczyła miljon!

Będzie to wyścig piękny, szlachetny, dający wobec zagranicy najlepsze świadectwo naszej kulturze.

Że zaś jest to rzeczą zupełnie możliwą do przeprowadzenia, tego uczy nas — przykład maleńkiej, dalekiej Finlandji. — I wówczas nie będziemy się ukrywać wstydliwie na szarym końcu w tym wielkim, europejskim koncercie.

(Lucy)

Z dziedziny sztuki radjowej

Mimo tego, iż istnieje tyle obszernych, wielostronnych form, w jakich przejawiała się i stale przejawia sztuka literacka, mimo, iż formy te powstawały i kształtowały się od czasów zamierzchłych aż do teraz, mimo, iż jest ich więcej niż się zdaje, to jednak wciąż tworzą się nowe. Zmieniają się i przechodzą mutacje, przetwarzają się z korzyścią lub stratą dla artyzmu mieszczącego się w nich mającego, by wreszcie nieoczekiwanie wytrysnąć niespodziewanym kształtem, olśnić ludzi swą oryginalnością i wyszukaniem, a równocześnie prostotą i naturalnością. I z miejsca zyskują równą ilość przeciwników, jak i wielbicieli, choć nie każdy z tych ostatnich umie swobodnie wypowiedzieć się w nowych formach: są jeszcze za twarde, zanadto „nowe", czy poprostu za mało spopularyzowane.

Jedną z tych form — służących treści za ramy — powstałą bardzo niedawno, bo w ostatnich paru latach, są **słuchowiska** radjowe. Trudno byłoby zdefinjować z jakiego typu audycji i pod wpływem jakiego procesu one się wytworzyły. W każdym razie stały się integralną częścią programów radjowych, choć początkowo oryginalnych słuchowisk prawie że nie nadawano: brakło autorów, którzyby się odważali naginać swą twórczość do nowych form. Radjofonizowano przeto utwory dramatyczne słynnych pisarzy, a nawet nowele i powieści. Że to niezawsze dawało dobre rezultaty — to jasne. Z biegiem czasu jednak młodsi pisarze okazywali coraz więcej zainteresowania radjem, a nawet zaczeli pisać słuchowiska. Te ich pierwociny, to przebijanie się przez trudności, jakie nastręczał mikrofon, to szukanie poomacku drogi, to walka o nową formę.

Polskie rozgłośnie stosunkowo bardzo późno rozpoczęły nadawanie oryginalnych słuchowisk. Nie mieliśmy autorów, umiejących z dnia na dzień dostosować się do nowych wymagań sztuki. A gdy się tacy już znaleźli, to i tak nie zawsze można było mówić o — sztuce. Radjosłuchacze jednak przyjmowali wszystko z zachwytem, bo — kto nie jadł tortu, temu smakuje czarny chleb. A więc choć nieraz słuchowiska te grzeszyły wielu usterkami czyto treściowemi, czy — głównie — **technicznemi,** patrzano na to przez palce.

Lecz gdy już technika słuchowiskowa u nas w Polsce, rozwinęła się naprawdę bardzo pięknie i wróży na przyszłość jak najlepsze nadzieje, słuchowiska — z pierwszych lat rozwoju tej techniki — dziś nadawane, rażą swą niezaradnością w używaniu środków stojących do dyspozycji autora i swą prymitywnością w operowaniu niemi. Z tych względów należałoby unikać powtarzania słuchowisk z przed paru lat, słuchowisk które wtedy może nawet ogromnie się podobały. W ciągu tych lat zmieniły się nietylko formy słuchowiskowe, ale i gusta słuchaczy i to, co kiedyś wywoływało zachwyty, dziś może być zupełnie obojętnem.

Taki mniej więcej wypadek zachodzi ze słuchowiskiem p. t. **„Miasto Santa Cruz".** Nadano je poraz pierwszy w roku 1933, obecnie przed paru dniami powtórzono tę audycję. W r. 1933 napłynęło do rozgłośni warszawskiej wiele listów od radjosłuchaczy; wszystkie z nich chwaliły to słuchowisko. Nie wiem, czy taki sam efekt osiągnęło ono i tym razem. Słuchając (drugi raz) o katastrofalnym cyklonie, który nawiedził miasto Santa Cruz, odnosiliśmy się do tej audycji z pewną dozą krytycyzmu, złączoną z wymaganiami, stosowanemi do dzisiejszych słuchowisk. Niestety, słuchowisko to nie było już „dzisiejsze". Postarzało się, a nie pomogło mu to ani takie „odmłodzenie", jak zlanie całego blasku bohaterstwa i poświęcenia na jedną tylko osobę, telefonistkę Dolores; w poprzedniem opracowaniu blask ten dzieliła Dolores ze swym narzeczonym. Również „Głos zapowiadacza" biegł ku słuchaczom znikąd, nic **nie wyjaśniając,** ani nie wnosząc właściwie nic nowego w tok akcji. Stroną dodatnią tej audycji było **jej wykonanie,** naprawdę b. dobre i piękne; jedynie tylko „wzburzony tłum" był zanadto karny i zdyscyplinowany.

Drugie — również nienadzwyczajnie udane słuchowisko, to **„Powieść o Rolandzie",** audycja dla dzieci. I tu też lepsze opracowanie techniczne mogło wiele zmienić i wpłynąć na ogólny efekt. Słuchowisko to, przygotowane jakby na kolanie, na poczekaniu, nadano zawcześnie: nie dojrzało jeszcze do radia. Wprawdzie młodzież może się na tem nie poznała, ale nie należy psuć jej smaku audycjami, w których można się doszukać jakichś niedociągnięć. Trzeba w niej cenić i przedewszystkiem **kształcić** przyszłych radjoabonentów. Jest to zadanie tak ważne, że warto mu poświecić trochę więcej uwagi, troskliwości i starania.

O jednej jeszcze — w tym wypadku lwowskiej — chcę wspomnieć audycji. Mam tu na myśli „Minuty literackie". Istotnie dobry wyznaczono im 10-minutowy czas, między 21-szą a 22-gą godz. Dla ludzi pracy bowiem o tej porze rozpoczyna się już „cisza nocna". Po wielogodzinnym wysiłku dnia, po napięciu nerwowem przychodzą godziny nocne, które powinny dać uspokojenie i odprężenie. Wieleż to inteligentnych umysłów stara się przenieść choćby na moment swe zainteresowania w sferę rzeczywistości odmiennej od środowiska własnego. A większość z nich słysząc fragmenty „mowy wiązanej", przeżywa w całej pełni to „przesunięcie psychiczne", jakie daje przeniesienie się w świat innych wartości. W ub. środę w „Minutach literackich" nadała rozgłośnia lwowska parę marynistycznych wierszy **Bohdana Pawłowicza.** Wybór tych niezmiernie interesujących miniaturek sztuki poetyckiej, dawał w perspektywicznym skrócie — obraz postawy duchowej autora wobec życia i tego rzeczywistości. Pełne, jędrnodźwięczne strofy wiersza „Bo ja nie jestem z tego domu" gorącem tchnieniem zawisły w powietrzu, by spaść wprost w serca słuchaczy; ich siła, barwność, ekspresja, subtelne metafory i coś, co nazwę „klimatem" wzbudzało uczucie najbliższego bo duchowego kontaktu z autorem.

Ten **gorący klimat** był pozatem cechą wszystkich odczytanych we środę wierszy, co nasunęło mi uwagę, że do ich deklamowania nadawałby się raczej artysta o głosie głębszym, silniejszym, niż młodzieńczy głos Kazimierza Wajdy. Dowodziły tego zresztą recytacje samego autora, dysponującego głosem o właściwem ciepłem, głębokiem brzmieniu.

g. R.